№ 33. Warszawa, dnia 2 (14) Sierpnia 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej № 779 (nowy 41).

EPISTOLA

dla J. K.

Skryj w duszy swojej łzy,
Niech niebo ześle ci
Spokoju biały kwiat.
Tego życzy poeta i brat.

Żyj—patrz na tę gromadę,
Na twarze smutne i blade
Patrz!—z cierni kwiaty rwij
I żyj! —

Miron.

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Dalszy ciąg).

Trzymając się mniej więcej metody Froebla, jako najlepszej z dotąd w nauczaniu zastosowanej, należy jednak unikać pewnych szkopułów, które za sobą pociągnąć może. Takim zbyteczne zaostrzanie i ćwiczenie zmysłu rozbioru (analizy), i sądu, ze szkodą wyobraźni, myśli uogólniającej (syntezy). Dziecię u któregoby te dwie zdolności wyłącznie z zaniedbaniem innych kształcono, byłoby kaleką duchowym, niezdolnem ani do zachwytu na widok piękna, ani do twórczości. Dla tego źle analizować w obec dziecka rzeczy piękne, które nań wielkie czynią wrażenie; przeciwnie zostawić je trzeba całe jego wrażeniu, rozbiór zostawiając na raz drugi, gdy siła wrażenia przeminie trwałe zostawiwszy w duszy jego ślady, lub dokonałabym go na przedmiocie tegoż rodzaju lecz mniej pięknym. Np. nie uczyłabym dziecka znaczenia i istoty piorunu wśród wielkiej, grozą przejmującej je burzy; na widok pięknego obrazu lub posągu zostawiłabym je wrażeniu, a sposób malowania obrazów tłomaczyłabym mu przed pospolitem płótnem.

Nadto sąd dziecka nie dość jest ćwiczyć na przedmiotach materyalnych, lecz nie mniej na zagadnieniach ze świata moralnego. Np. nie poprzestałabym na zadawaniu mu pytań: dla czego przy piecu gorąco a dalej od niego zimno? dla czego źle jest palec kłaść w świecę i t. d., lecz pytałabym się go zarówno dla czego źle jest być skąpym, niecierpliwym, leniwym? coby zrobiło gdyby mając w ręku chleb z masłem ujrzało dziecię głodne? coby zrobiło gdyby go kolega wołał do zabawy w chwili w którejby się uczyło zadanej lekcyi? Jeżeli zaniedbamy zwracania jego uwagi na świat moralny, poweźmie dziecię przekonanie iż tylko świat materyalny ważnym jest, albo iż tylko w czynnościach odnoszących się do materyalnego świata, należy sobie zdawać sprawę ze swych czynności. Stopniowo też musi matka obok działania na umysł przez zmysł wzroku, działać nań też przez zmysł słuchu, za pomocą nauki ustnej, wzwyczajając je do uważnego słuchania, inaczej bowiem dziecię później z trudnością przechodzi do nauki szkolnej, której i domowa i ochronna jest jeno przygotowaniem.

Zdawałoby się że po tylu uwagach wstępnych, nic już nie pozostaje do powiedzenia o tem, czego i jak matka ma uczyć dzieci od lat trzech do siedmiu, ajednak pozwolę sobie długo jeszcze zatrzymać się nad tym przedmiotem w przekonaniu, że szczegółami nie znużę wiele, przeciwnie nawet że się niemi przysłużę; wiem bowiem z własnego doświadczenia, że w nauce wychowania jak w każdej innej, postawienie szczytnej teoryi korzystnem jest, budząc w nas pragnienie dojścia do doskonałości, lecz zniechęca nas zarazem przedstawieniem trudności, których zwalczyć nie umiemy. Przeciwnie dzieła w szczegóły i praktyczne wskazówki obfite, choćby najdrobiazgowsze, dodawały mi zawsze otuchy i zbawiennie na skuteczność mych prac wychowawczych wpływały.

Owóż każda matka chcąca uczyć cokolwiek systematycznie dziecię swe mające 3 lub przeszło trzy lata, najlepiej zaczynać naukę w późnej jesieni gdy dziecię przestaje biegać po świeżem powietrzu i nudzi się. Powinna jakiś czas przed tem opowiadać mu o dzieciach chodzących do szkoły, albo uczących się w domu, pokazywać mu stosowne obrazki, przedstawiając mu to jako zaszczyt, na który dziecię zasługuje tylko pewnym stopniem uwagi i posłuszeństwa. Dziecię zapyta niezawodnie kiedy ono tego zaszczytu dostąpi, a matka mu to obieca jako nagrodę za wytrwałą przez jakiś czas grzeczność. Wreszcie upatrzywszy chwilę stosowną powinna się matka ostatecznie do rozpoczęcia nauki przygotować.

Bo i jestże jaki przedmiot o którymby mówić można z 3 lub 5 letniem dzieckiem, a którenby przez każdą matkę opisanym i wytłomaczonym być nie mógł. W pierwszej chwili każdy odpowie przecząco, po chwili namysłu jednak przyzna każden, że właśnie to zaufanie w wiadomości nasze, jest przyczyną nie podnoszenia się ogólnego poziomu wiadomości. I podczas gdy nie masz prawie przedmiotu o którym ogół osób miernie wykształconych, nie mógłby dać pewnych ogólnikowych wiadomości, nie masz też prawie jednego, nawet z najpospolitszych, najczęściej widywanych o którychby większość mogła dać wyczerpujące, dokładne zdanie. Weźmy np. muchę lub komara: każda matka opowie dziecku że te owady brzęczą, kąsają, psują wiele rzeczy, że nie masz ich w zimie i t. d.; ledwie dziesiąta zwróci jego uwagę na liczbę ich nóg i skrzydeł, na kształt nóg umożliwiający trzymanie się na śliskich powierzchniach, a setna zaledwie nauczy je o przeobrażeniach tych

owadów, o ich życiu zimowem i t. d. Nie lepiejże nie poprzestając na zdawkowej monecie krążących powszechnie wiadomości, dokładnie wprzód poznać przedmiot każdy i zupełnych, nieomylnych udzielić dziecku wiadomości, i być pewną że mu się nie powtarza wieści oświeconych przesądem lecz nie stwierdzonych nauką? Zresztą do tego zwyczaju codziennego przygotowywania się, dołączywszy niemniej chwalebny zapisywania co dzień, to o czem mówiliśmy dziecku, wielekroć jeden rozbieraliśmy przedmiot, będziemy mieli zawsze jasno przed oczami postępy dziecka, unikniemy zbyt częstego powtarzania o jednych, zaniedbania innych przedmiotów, i będziemy mogli rozmaitość w wykładzie z systematycznością połączyć.

Przygotowawszy się więc dostatecznie, zawoła matka dziecię, oznajmi mu że przyszła ważna chwila której tak oczekiwało, a otworzywszy przed niem szufladę zawierającą pomocnicze naukowe przedmioty, da mu arkusz z obrazkami które mu chce tłomaczyć, przedmioty mogące do porównań służyć np. dwa papierki różnego koloru, dwa przedmioty nierównie ciężkie i t. p. a jeżeli choć cokolwiek rysować umie, szyfrową tabliczkę i takiż ołówek i to wszystko każe mu porządnie na stoliku położyć. Potem siadłszy koło niego pokaże dziecku kilka obrazków, i zatrzyma się na wizerunku przedmiotu, któren szczegółowo dziecku opisać chciała. Jakiegoż rodzaju ma być ten przedmiot?

Wielu pedagogów doradza zaczynać naukę o rzeczach, od części ciała ludzkiego, jako najbliżej dziecko obchodzących, najlepiej mu znanych, jabym jednak wolała zacząć od jakiej istoty żyjącej, któraby w sposób wesoły uwagę dziecka zająć mogła np. od psa. Pokazałabym dziecku obrazek psa lub psa z tektury lub drzewa, zapytując co to takiego? *Dz.* „Pies.“ *Ja*: „Czy podobny do Milusia?“ (ulubionego psa domowego)! *Dz.* „Podobny.“ *Ja*: „A zobaczmy“ i wołam psa, i zwracam uwagę dziecka na to że jeden wielki, drugi mały, jeden biały, drugi czarny; daję kawałek chleba żywemu, któren go zjada, podaje drugi namalowanemu, któren go zjeść nie może; pytam dla czego? *Dz.* „Bo nieżywy“. Uwydatniam różnicę między rzeczą żywą, a nie żywą, ruch, zdolność wydawania głosu, przyjmowanie pożywienia i t. d. Potem mówię mu o psie jaki wierszyk ładny, rysuje mu go na szyfrowej tabliczce w jakiej postawie zabawnej, opowiadam o psach bajeczki np. o psach uczonych, o psach ratujących tonących lub śniegiem zasypanych; albo łącząc naukę moralną, o chłopcu któren drażnił psa pomimo zakazu i ukąszonym został; albo o psie któren chociaż nie raz bity przez złośliwego chłopaka, wyciągnął go jednak tonącego z wody.

Jeżeli dziecię nie znużone, można usunąć obrazek, położyć przed niem przedmioty odmienne i bawiąc się niemi, dawać mu poznać ich wspólne albo odmienne własności, zawsze zważając na to, aby dziecko samo, przez spostrzeganie i porównywanie dochodziło do sądu o rzeczach, a wystrzegając się narzucania mu własnego widzenia rzeczy. Np. nie mówiłabym dziecku: żelazo ciężkie, drzewo lekkie, dopóty dopóki by samo nie spostrzegło tej różnicy, unosząc kolejno jednakiej wielkości kawały żelaza i drzewa. Można też przerwawszy naukę pobawić się z dzieckiem w ruchliwą zabawę i po dłuższej chwili wypoczynku do nauki powrócić.

Wiele czasu naraz na tę pierwszą naukę zużyć można, trudno określić: zrazu mało bardzo, kwadrans zaledwie; z czasem coraz więcej, nigdy więcej godziny na raz; spostrzegłszy u dziecka znużenie lub zniechęcenie, przerwać ją natychmiast, przedmiot jej zmienić, lub zupełnie zawiesić ją należy, dążąc niemniej powoli a bezustannie do urabiania stopniowego uwagi i wytrwałości dziecka.

Nauka poglądowa (nauka o rzeczach) jestże jedyną, jakiej w tem wieku uczyć należy? Od niej niezaprzeczenie zacząć potrzeba, ona tak pojęta jak my ją pojmujemy, obejmuje przedmioty ze świata materyalnego i moralnego, działa na wszystkie władze dziecka; niemniej dodawałabym do niej rychło bardzo inne nauki i zajęcia; a mianowicie naukę o Bogu, jego dobroci, miłości i sprawiedliwości, o łaskach jakiemi dzieci obsypuje i o tem czego od nich żąda; naukę zawartą w słowach prostych a malowniczych, popartych przystępnymi dla dziecka przykładami, i ćwiczenia, wymagające zręczności, czynności i uwagi jak układanie drewienek i t. p.

Każda z następnych lekcyi musi być zaczęta od pokazania dziecku przedmiotu w poprzedniej lekcyi opisanego — zrazu można go pokazywać niby od niechcenia, niespodziewanie, dla wybadania czy dziecię pamięta nazwisko przedmiotu, jego główne własności, opowiedzianą mu o nim bajeczkę; na żądanie dziecka albo spostrzegłszy że słów naszych nie zapamiętało należy je powtórzyć, zabawnie, wesoło, z miminą, jak najmalowniczej. Chociaż matka możé czerpać treść do opowieści w książeczkach dziecinnych których tytuły podałam wyżej i w innych podobnych, dobrze zrobi gdy je po swojemu przekształci, albo sama nowe wymyślać będzie, żeby dziecku zostawić zasób niewyczerpanych rozkoszy, do chwili w której samo czytać zacznie. Gdyby dziecię samo opowiadać chciało słyszaną bajeczkę lub wyszukiwało własności rzeczy, robiło porównania, pozwala mu się na to, zachęca do tego, prostując jeno sąd jego, na trafne naprowadzając zdania; przeciwnie z dziećmi niechętnie mówiącemi, a takich wiele, trzeba zużyć wiele wyrozumiałości, poprzestając z razu choćby na pojedynczem słówku, byle dowodzącem zrozumienia rzeczy lub pamięci, lecz stopniowo je wiodąc do stosownego i wyraźnego zdań układania.

Lekcya kończy się ułożeniem porządnem przedmiotów do nauki zużytych i wesołą zabawą. Tak; nie pojmuję przyciągania dzieci do nauki, obietnicą cukierków, nagród i t. p. lecz pragnę by początkowa nauka tak była dla dziecka uroczą, zakończona tak porywającą zabawą żeby dziecko jej, dla niej samej pragnęło, w przypominaniu jej sobie źródło nowej zabawy i przyjemności znajdowało, coraz nową sobie z następnej obiecywało. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYE ZAGRANICZNE.

z Krakowa.

(Dokończenie).

Kremer zamierzył sobie jeszcze opracować system logiki, mający służyć za książkę do wykładu w wyższych zakładach naukowych, a system ten miał być opracowany na podstawie powyżej podanych nowych jego poglądów. Pracę tę rozpoczął w r. 1869 i postanowił napisać dwa oddzielne dzieła — jedno krótsze dla użytku szkół, drugie obszerne zawierające wykład całego systemu logiki. Naturalnie taka praca wymagała długiego czasu. W tem w r. 1870 obrany został rektorem uniwersytetu Jagielońskiego i w tym charakterze udał się na sejm lwowski; tam został na ulicy najechany przez fiakra i ciężko raniony. Odtąd rozwinął się zaród choroby która miała wpędzić go do grobu. Pomimo wielkich cierpień nie ustawał w pracy, siłą woli powstrzymując rozwój choroby, i oba dzieła były bliskie końca, gdy śmierć nieubłagana rozcięła pasmo dni jego.

Trudno byłoby wskazać człowieka tak powszechnie szanowanego i kochanego; czciły go wszystkie stronnictwa, wszystkie koła towarzyskie, kochali starzy i młodzi. Wszystkich ujmował sobie dziwnym urokiem rozmowy, świeżością myśli, trafnością poglądów, ciepłem uczucia, zacnością czynów. Wielkie jego zasługi zjednały mu najwyższe zaszczyty naukowe. Jak tylko powstała Akademija Umiejętności, Kremer jeden z najpierwszych został wybrany na członka; prócz tego piastował godność dyrektora wydziału historyczno-filozoficznego i obowiązki te spełniał do ostatniej niemal chwili. Ze śmiercią znakomitego myśliciela powstała próżnia którą trudno będzie zapełnić, a pamięć jego zasług, pracy i bezgranicznej miłości kraju, nie przestanie żyć w sercach ziomków.

Nader bolesną także stratą, już nie dla całego narodu ale dla miasta naszego, jest śmierć cichego pracownika w winnicy Pańskiej X. Macieja Wójcikowskiego.

Ze świata boleści przejdziemy teraz do krainy wspomnień będących także pomnikami tego co przebrzmiało. Wędrówka taka i smuci i pociesza zarazem, uśmiech ze łzą brata. Ha! cóż robić, świat choć piękny nie dla wszystkich i nie zawsze tak się ułudnym przedstawia.

Pragnę więc podzielić się z Wami opowieścią drobnych szczegółów o Adamie Mickiewiczu, którego dzieła w całości wydane przed dziesiątkiem lat w Warszawie, nawet w nasze strony przywędrowały.

Najczęściej, są to słowa opowiadającego, siedział Adam zadumany jakby w pół-sennem zatopiony marzeniu puszczając z fajki kłęby dymu, jak człowiek któremu ciężą drobne sprawy tego życia. Gdy bywał więcej ożywiony, rozmowa miała cechę biblijną a ze słów jego, księgi spisywać było można. Zupełnie naturalnie, bez nastrajania się do tej formy mówił często przypowieściami, a było to tak odpowiednie jego charakterowi, że gdy mówił przenosił słuchającego na palestyńskie wybrzeża i na pustynie przez które przechodził lud wybrany.

Adam lubił bardzo słuchać mówiącego jednego ze swych przyjaciół, który zdaniem jego tak opowiadał jak gdyby był przytomny kiedy Bóg świat stworzył. Jeźli zaś kto w obecności jego prawił od rzeczy, słuchając siedział jak arabski ramak kiedy zły, spuści uszy i radby się wyrwać i polecieć daleko. Dyssonanse w głosie raziły go i drażniły nerwy; jeźli kto mówił nieprawdę odczuwał to i oburzał się niewymownie.

Nieśmiertelny wieszcz bywał zawsze jakby w oblężeniu, każdy cisnął się do niego aby módz pochlubić się że był u niego, że z nim mówił — a jakże to mało kto go rozumiał! To też nie można się dziwić, że czasami znudzony przez podobnych natrętników, bywał dla nich szorstki i surowy. Jeden który z nim zapoznał się powiada: całą noc przygotowywałem się do tej wizyty ale gdy znalazłem się w obec Adama, jak to mówią, zapomniałem języka w gębie. Mickiewicz mieszkał wtedy na l'Ouest, wprost bramy ogrodu Luksemburgskiego; z początku szedłem odważnie, ale gdy już miałem wejść do domu uczułem nieco gorąca i pewien niepokój. Jeden z synków pokazał mi schody prowadzące do pokoju ojca: wchodząc zdawało mi się że dźwigam u nóg po sto funtów ołowiu. No! bywaj zdrów, co ja takiego jemu powiem! pomyślałem; — iść czy nie iść? lecz przecież muszę go zobaczyć choć raz w życiu!... Zapukałem nieśmiało, nic mi nie odpowiedziano. Albo był bardzo zajęty albo niedosłyszał zbyt cichego pukania; zapukałem powtórnie: po chwili usłyszałem kroki i Adam z fajką w ręku sam mi otworzył.

Brak mi wyrazów na opisanie wrażenia jakie na mnie sprawił. Uczułem się nagle tak ograniczonym i maluczkim... chciałem coś górnie przemówić a wybełkotałem jakiś obrzydliwy frazes, za który gdyby nie jego obecność, byłbym się za ucho pociągnął.

Postrzegł moje zakłopotanie, dobrotliwie wskazał miejsce obok siebie, i ucieszył się wielce dowiedziawszy się iż mieszkam stale w Warszawie.

Wymieniłem kilka nazwisk i kilka nowych dzieł; niektóre już były mu znane, wiedział nazwiska wszystkich autorów i z całą szczerością mówił o dziełach i osobach. Mówił z przestankami, patrząc mi bystro w oczy i zakończył następującą radą: chcesz wiedzieć moje zdanie, więc ci powiem: wszyscy piszący jesteśmy równi sobie, tylko z warunkiem żeby każdy był sobą i orzeł nie nastrajał się na słowika a słowik na orła. Tylko głupcy zdolni są lekceważyć to co w tej a nie w owej formie od Boga przychodzi. Kto porównywa Rafaela z Wuwermanem, albo Fidyasza z Robią, powiem mu że głupi. Wszystko to są Boże ptaki i tylko zielone głowy w porównania się wdają, w rozdawanie honorów albo ich zaprzeczanie. Poezya była, jest i będzie do końca świata, a kto jej w jakiejkolwiek chwili przeczy, kto jej nie widzi, ten jest kret i głuchoniemy.

Po tych słowach nałożył znowu fajkę i odrzucił w tył dobrze już siwiejące włosy, i wtedy też dopiero ochłonąwszy z pierwszego wrażenia wpatrzyłem się w twarz Adama. Rysy jego wyrażały nieustającą burzę wewnętrzną, w milczeniu jego było coś jak w ciszy wielkiej chmury przed gromem; oczy małe, szare zdawały się nie rzucać spojrzeń ale promienie przeszywające, ostre jak blask szlifowanych kamieni. W każdem zdaniu stanowczość, w każdym ruchu swoboda. Często wzdychał i zaciskał dolną część ust; w całej jego postaci było coś odrębnego, co nie mogło się dostroić zszeregować z drugimi.

Sztukę podziwiał jako artyzm, ale ją lekceważył; raz powiedział: gdyby tę miłość którą artyści wkładają w swoje obrazy, włożyli w społeczeństwo, jakieżby to cuda historya zapisała na swych kartach!..

Nie lubił naśladowania a raczej przedrzeźniania natury. Będąc raz w ogrodzie w którym Francuz właściciel pourządzał sztuczne groty, rzekł do towarzysza:

— Nie chodźmy tamtędy, nie lubię tych głupstw. Natura jest wielką we wszystkiem co tworzy, ale gdy ją człowiek chce niewolniczo naśladować, robi karykatury.

Chwila śmierci żony Adama Celiny, jakże to obraz serce rozdzierający. Jakże strasznem jest samo udręczenie moralne jakie sprawia choroba drogiej osoby, a jeszcze matki kilkorga dzieci, cóż dopiero jeźli do tego łączy się okropne widmo biedy. Raz już w podobnem położeniu Adam zastawił ostatni zegarek, i jak sam powiedział, nie posiadał już nic coby zastawić można. I teraz do tego przyszło że jeden z przyjaciół zaniósł na sprzedaż jedyną może rzecz zbytkową jaką Adam posiadał, obrazek Dominichina i nie sprzedał bo nie chciano dać za niego nawet 300 franków.

Ale też stan taki trwał krótko, gdyż w chwili gdy Celina zachorowała nikt jeszcze o tem nie wiedział.

Bliżsi znajomi wielkie pochwały oddają żonie Adama i nazywają ją niewiastą wielkiego serca. Miała ona anielską cierpliwość, i taką ciszę w duszy, którą za rodzaj bohaterstwa uważać można. Jedynem jej zadaniem były obowiązki żony i matki. Cierpiała wiele tak z przyczyn fizycznych jak z powodu ciężkich trosk życia codziennego, z obawy o każde jutro i częstego niedostatku, a wszystkiemu sama radzić musiała, gdyż Adam nie mógł i nie umiał się tem zajmować.

I Kraków doczekał się nareszcie letniego teatru, mamy tu przedstawienia w ogrodzie strzeleckim. Pomysł to nader szczęśliwy, który daje sposobność tak miejscowym jak licznym w tej porze gościom, zgromadzać się licznie i spotykać. Pragnęlibyśmy tylko aby do repertoaru nie wchodziły podobne arcydzieła jak „Piękna Helena“ której rozgłośna sława wszystkie szanujące się damy odstrasza od teatru. Za to pochwalić trzeba wybór mniejszych sztuczek, wesołych komedyek, jak dawna ale zabawna sztuka „*Ojciec debiutantki*“. Rolę, w której kiedyś wsławił się Dawidson, objął tu p. Eker, zdolny komik, i oddał ją doskonale. Debiutantką była p. Urbanowicz i grała nie jak debiutantka. Sztuka ta podobała się powszechnie.

Dnia 10 b. m. dano pierwszy raz krotochwilę w 3 aktach p. n. „*Postępowe swaty*“ pseudonima Esteradzkiego (Koziobrodzki). Zkąd autorowi który tyle już pisał przyszła nagle fantazya występować z pseudonimem? nie wiemy — tym więcej że może śmiało przyznać się do swej sztuki, zabawnej, obmyślanej dowcipnie i odegranej dobrze.

Autor chciał wyraźnie wyśmiać prawie nieistniejący u nas, a tak rozpowszechniony za granicą zwyczaj, szukania żon czy mężów przez gazety i kantory. Rzecz obraca się głównie na nieporozumieniach bardzo śmiesznych wynikających z tego powodu.

Akcya sztuki nadzwyczaj żywa i pełna humoru, niektóre sceny i cały akt 3-ci wyborne.

Zasługuje na wzmiankę przedstawienie dane w dniu 17 b. m. (na benefis Czechowskiego, suflera teatru) na który przeznaczono aż dwie nowe sztuczki oryginalne: 1° komedyjka w 1 akcie, wierszem ze śpiewami, Artura Bartelsa: *Popas w Miłośnie* czyli *Zemsta Cioci Salusi*, 2° *Flisacy*, obrazek ludowy w 1 akcie Wł. Anczyca, i nie dość na tem 9 obrazów z żywych osób według pieśni o Dzwonie, Schillera, z muzyką Kazimierza Hofmanna. Deklamowała p. Hofmann i p. Szymański.

Obrazy podobały się powszechnie, tylko to jest do zarzucenia: że mając tylu własnych genialnych i ulubionych poetów wolelibyśmy ich utwór jaki widzieć tak przedstawiony. W komedyjce „*Popas w Miłośnie*“ nie ma wielkiej intrygi, treść nie jednokrotnie brana do komedyi ale wesoła; Henryk kłamie śmiesznie i dość dowcipnie, autor bawi i śmieszy widzów, nie uciekając się do trywialnych lub nie przyzwoitych dwuznaczników. Wiersz w ogóle dość gładki.

Druga sztuczka, *Flisacy* Anczyca, to prosty obrazek ludowy, pełen życia i prawdy; patrząc nań zapominamy że jesteśmy w teatrze, i zdaje nam się że weszliśmy do chaty wieśniaka, wyzyskiwanego przez nielitościwych lichwiarzy. Kracowiacy tacy rzeźcy, tak zdjęci z natury, a p. Wołoszka dobrze odśpiewał krakowiaka Moniuszki „z Jawnuty.“

Widzicie więc że mała scena krakowska, której śmierć i scena warszawska zabrała najlepszych artystów, pomimo to potrafi zdobyć się na to czego daremnie pisma peryodyczne nasze domagają się od dyrekcyi czy tam reżyseryi teatrów warszawskich, i daje nam sztuki coraz nowe a co więcej *oryginalne*, co wielką jej stanowi zasługę.

Ze Lwowa.

(Dokończenie).

Niejaki p. Sacher-Masoch syn byłego dyrektora policyi we Lwowie uwziął się na biedną Galicyę i w szeregu obrazków powieściowych, które od dwóch lat umieszcza w *Revue des deux mondes*, obałamuca czytelników tego pisma. Nasze stosunki społeczno polityczne są tam przedstawione w sposób uchybiający prawdzie w najwyższym stopniu i na każdym kroku. Gdyby te fałsze były rozumnem dziełem z góry wytkniętej a nieprzyjaznej nam tendencyi, nie gorszylibyśmy się tem bardzo, bo aż nadto przyzwyczajeni jesteśmy do systematycznych potwarzy próżniaków niemieckich. Ale w obrazkach powieściowych p. Sachera-Masocha, które *Revue des deux mondes* wydrukowała z przedmową podnoszącą znakomite stanowisko literackie autora jako „małoruskiego pisarza“, łączy się zła wola z największą nieznajomością rzeczy, złośliwość nędznie maskowana z lekkomyślnem zmyślaniem rzeczy pod słońcem galicyjskiem nie istniejących; — jednem słowem obrazki p. Sachera-Masocha są produktem pospolitej blagi i krzykliwej pretensyonalności.

P. Sacher-Masoch ma wprawdzie rozgłos w niemieckim świecie literackim ale nie dlatego, że jest autorem całego tuzina miernych powieści. Powieści bowiem obliczone na pospolity efekt, mogą od biedy ujść w fejletonach drugorzędnego dziennika gdyż razem z jednodniowemi artykułami idą w zapomnienie. Rozgłos p. Sachera-Masocha pochodzi ztąd, że jest wynalazcą nowego systemu krytycznego, że przyszedł do przekonania, że jest rzeczą niestosowną, ażeby o dziełach jego pisał recenzye człowiek obcy, może zupełnie mu nieznany. Taki recenzent zazwyczaj powoduje się uprzedzeniem albo jest zarozumialcem i nie może ocenić wszystkich zalet arcydzieła. Przyszedłszy do tego wygodnego przekonania p. Sacher-Masoch zrobił krok potężny i celem radykalnego zreformowania krytyki literackiej, napisał przed dwoma laty sporą broszurę mającą wrzekomo rozprawiać o wartości krytyki. Był to jednak tylko płaszczyk, pod którym licho ukryło się samochwalstwo dotąd niepraktykowane nigdy i nigdzie. P. Sacher-Masoch nazwał wszystkich krytyków, którzy nie uznają w nim genialnego pisarza, niedołęgami i zarozumialcami, wydał sąd stanowczy i najpochlebniejszy o swoich utworach, wyliczył wszystkie tryumfy w swej karyerze literackiej i bez wszelkiej ceremonji nazwał siebie zapoznanym geniuszem, którym niezadługo świat będzie się tak zachwycać jak Szekspirem.

Oświadczam nadto, że streszczając samochwalczą broszurę p. Sachera-Masocha nie dopuściłem się najmniejszej przesady, lecz raczej pominąłem jaskrawe niedorzeczności milczeniem, ażeby nie trapić niemi czytelnika, dla którego samozwańczy geniusz niemiecki jest wcale obojętnym. Artykuły takiego Sacher-Masocha obok artykułów Juliana Klaczki muszą dziwnie przedstawiać się nawet rodakom autokrytyka niemieckiego, więc zapewne i redaktorom *Revue des deux mondes* w krótce otworzą się oczy. Czem prędzej się to stanie, tem lepiej wyjdzie na tem powaga redakcyi. Dla nas ostatecznie zawiść p. Sacher-Masocha jest dość nieszkodliwą, bo artykuły jego chociaż drukowane w piśmie znakomitem skazane są nieodwołalnie na — makulaturę.

Mamy żal do pism warszawskich za jeden drobny wprawdzie ale zawsze niemiły dowód nieznajomości naszych stosunków. Jedno z waszych pism codziennych oznajmiło niedawno Warszawie, że w jej murach gości najznakomitsza artystka sceny lwowskiej p. D. a nikt nie sprostował tej wiadomości w sposób, któryby wyświadczył przysługę prawdzie a jak mniemamy i p. D. Artystka ta bowiem pojmuje sztukę nadto poważnie, ażeby zadowolnić się miała pochlebstwem wyrządzającem krzywdę jej koleżankom starszym, ażeby mówiąc otwarcie życzyła sobie jednodniowej i tuzinkowej reklamy. Panna D. jest artystką bardzo uzdolnioną i sympatyczną, jest już dziś ozdobą naszej sceny a ponieważ młodość i rzadka powierzchowność wróżą jej talentowi świetną przyszłość, więc nic jej nie przeszkadza wznieść się kiedyś na takie stanowisko, jakie jej już dziś wyznacza zbyt łaskawe pismo warszawskie. Zgadzamy się nawet na pochwalne głosy krytyki warszawskiej o pierwszem występie p. D., ale to wszystko nie upoważnia jeszcze

nikogo do nazwania jej najznakomitszą artystką sceny lwowskiej, która przecież w personalu artystycznym posiada panią Aszperger i panią Nowakowską! W kołach artystycznych i literackich warszawska wzmianka o pannie D. wywołała pewne zdumienie, bo i tak już często narzekają u nas, że Warszawa nawet w pierwszorzędnych pismach swoich bardzo źle bywa informowaną o stosunkach lwowskich.

HERNANI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

W. HUGO.

Przełożył Klemens Podwysocki.

OSOBY:

Hernani.	Don Ricardo.
Don Karlos.	Don Garci Suarez.
Don Ruy Gomez de Silva.	Don Francisco.
Dona Sol de Silva.	Don Juan de Haro.
Król Czeski.	Don Pedro Gusman de Lara.
Książę Bawarski.	Don Gil Tellez Giron.
Książę Gotha.	Dona Józefa Duarte.
Baron Hohenburg.	Góral.
Książę Lutzelburgski.	Dama.
Jaquez.	Pierwszy spiskowy.
Don Sancho.	Drugi spiskowy.
Don Matias.	Trzeci spiskowy.

Spiskowi ligi świętej, Niemcy i Hiszpanie.
Górale, panowie, żołnierze, paziowie, lud.

Hiszpanja, 1519 roku.

AKT PIERWSZY.

Król.

SARAGOSA.

Pokój sypialny. Noc. Lampa na stole.

OSOBY:

Hernani.	Dona Sol de Silva.
Don Karlos.	Dona Józefa Duarte.
Don Ruy Gomez de Silva.	

SCENA I.

Dona Józefa Duarte, staruszka — strój czarny, gorset wyszywany gagatkami — moda z czasów Izabelli katolickiej, Don Karlos.

DONA JÓZEFA (*sama*).

(Zasuwa firanki karmazynowe u okien, i ustawia krzesła. Stukanie do małych drzwi tajemnych po prawej stronie. Słucha. — Stukanie się powtarza).

Czyżby to on?

(Nowe uderzenie do drzwi).

Na wschodach skrytych... Teraz wierzę.
To on!...

(Czwarte uderzenie).

Więc otwórzmy!...

(Otwiera małe drzwi niewidzialne, wchodzi Don Karlos. Twarz osłonięta płaszczem, kapelusz zasłania oczy).

Witaj Kawalerze!

(wprowadza go, Don Karlos odrzuca płaszcz i odkrywa bogaty strój kastylski z aksamitu i atłasu, z 1519 r. Dona Józefa cofa się zdziwiona).

Któż to? To nie Hernani? Nieba najłaskawsze!
Ratunku!

DON KARLOS (*chwytając ją za ramię*).

Milcz!—Dwa słowa, a zmilkniesz na zawsze!

(patrzy w nią badawczo, Dona Józefa milczy przestraszona).

Czy jestem u Dony Sol, co jest narzeczoną
Stryja swojego, Księcia Silva? Starzec pono
Zazdrośny, acz poczciwy; a zaś piękna dona
Młodzieńcem gołowąsym nadto rozmarzona —
I co wieczór, wiem dobrze, widzi donę młodą
Ten to młokos bezbrody, tuż pod starca brodą,
Czyż nie tak?

(Dona Józefa milczy, Don Karlos wstrząsając jej ręką):

Rzeczy jasne. — Odpowiesz mi na nie?

DONA JÓZEFA.

Dwóch słów mi wyrzec nawet nie kazałeś, panie.

DON KARLOS.

Dość jednego. — Odpowiedz — tak, lub nie! —No hola!
Dona Sol — to twa pani.

DONA JÓZEFA.

Tak. — Lecz cel?

DON KARLOS.

Swawola...
Starca nie ma, nie prawdaż, przy uroczej donie?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

A tamten wnet przyjdzie?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Niech grób mię schłonie!

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Czy tutaj przyjmuje dona tego ptaszka?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Ukryj mię.

DONA JÓZEFA.

Co? Pana?

DON KARLOS.

Mnie.

DONA JÓZEFA.

Po co?

DON KARLOS.

Igraszka!

DONA JÓZEFA.

Pana... ukryć?...

DON KARLOS.

Tu.

DONA JÓZEFA.

Nigdy!

DON KARLOS (*dostając sztylet z za pasa i worek ze złotem*).

A więc, pani, oto —
Racz wybierać: ten sztylet, lub to czyste złoto.

DONA JÓZEFA (*biorąc worek*).

Więc tyś szatan?

DON KARLOS.

Tak pani.

DONA JÓZEFA (*otwiera szafę wązką w murze*).

Tu jedyne skrycie.

DON KARLOS (*oglądając szafę*).

W tem pudle?

DONA JÓZEFA (*zamyka ją napowrót*).

Odejdź, jeśli nie chcesz...

DON KARLOS.

Znakomicie!

(Patrząc w głąb szafy).

Czy to stajnia, gdzie stawiasz, moja piękna różo,
Ożogi, co do nocnych wycieczek ci służą?

(wciska się do szafy z trudnością).

Uf...

DONA JÓZEFA (*składa ręce ze zgorszeniem*).

Mężczyzna!... tu!...

DON KARLOS (*z otwartej szafy*).

Pięknie! Na kobietę może
Czekała twoja pani?

DONA JÓZEFA.

To ona! — O, Boże!
Zamykaj pan, zamykaj! O prędzej, to ona!

(popycha drzwi od szafy które się zamykają.)

DON KARLOS (*z szafy*).

Wyrzeknij jedno słowo, a będziesz zgubiona!

DONA JÓZEFA (*sama*).

Kto on ten człowiek? Jezu! — Gdybym zawołała!...
Lecz kogo?.. Wszak w pałacu służba we śnie cała...
—Ba! Wnet przyjdzie ten drugi.—On przychodzi [z bronią...
To rzecz jego!... Ma szpadę.—Nas nieba niech chro- [nią
Od piekieł.

(ważąc worek w ręku)

Że nie złodziej, to się widzi przecie...

(wchodzi Dona Sol w bieli, Dona Józefa chowa worek).

SCENA II.

Dona Józefa. Don Karlos (ukryty). Dona Sol — później Hernani.

DONA SOL.

Józefo!

DONA JÓZEFA.

Jestem.

DONA SOL.

Dziwna trwoga pierś mi gniecie!
Hernani nie przychodzi...

(odgłos kroków za małemi drzwiami.

To on! — Mój Hernani!
Otwórz zanim zastuka!.. Prędzej, prędzej, pani!

(Józefa otwiera, wchodzi Hernani. — Płaszcz długi, kapelusz z rondem szerokiem, pod płaszczem strój górala z Arragonji; szary napierśnik skórzany, szpada, sztylet i róg myśliwski u pasa).

DONA SOL (*biegnąc ku niemu*).

Hernani!

HERNANI.

O, nareszcie widzę cię! Ten słodki
Głos, co tu mię powitał, to głos mej pieszczotki!
Czemuż zdala od ócz twych żyć mi każą nieba,
Gdy, by wszystkich zapomnieć, ciebie mi potrzeba!

DONA SOL (*dotykając ubrania Hernaniego*).

Płaszcz twój mokry... Ulewa, burza, mów na Boga!

HERNANI.

Nie wiem.

DONA SOL.

Czy tobie zimno panie?

HERNANI.

To nic, droga!

DONA SOL.

Zdejm płaszcz z siebie.

HERNANI.

O, niech mi śliczna moja powie,
Czy gdy zasypia błogo w cichej swej alkowie,
Spokojna, śnieżna, kiedy te oczy zamyka
Sen paluszkiem, a usta roztwiera, — z promyka
Świetlanego, czy sepce tobie głos anioła,
Czem jesteś tu dla tego, kogo klną do koła?

Dona Sol.

Spóźniłeś się, mój panie, lecz powiedz swej donie,
Czy ci zimno?

Hernani.

Przy tobie pierś ta ogniem płonie!
O, gdy miłość zazdrośna w głowie mózg rozwierca,
A burza piekieł żarem przepełnia głąb serca,
Czem są te błyskawice, burzy ryk ponury,
Co nam zsyła przelotny, gniewny obłok z góry?

Dona Sol (*rozpinając mu płaszcz*).

Ten płaszcz ze szpadą razem, możesz zdjąć już [przecie...

Hernani (*z ręką na szpadzie*).

O nie! to mój jedyny, wierny druh na świecie!
Dona Sol — stary książę, czy jak puszczyk z wieży
Nie śledzi nas?

Dona Sol.

Godzina ta do nas należy.

Hernani.

Godzina! Oto wszystko! Godzina!... To wiele!
A potem — zapomnienie, lub śmierć! O, aniele —
Godzina, czem dla tego, komuby się chciało,
Tu życie z tobą spędzić, a tam, wieczność całą!

Dona Sol.

Hernani!

Hernani (*z goryczą*).

Jakie szczęście! On wyjeżdża z domu,
A ja, jak złodziej nędzny, drżący, — pokryjomu
Wchodzę, by cię zobaczyć i godzinę całą
Ukraść mu z twoich pieśni i spojrzeń!... Toż mało?
O, jam bardzo szczęśliwy! I tej chwilki skrycie
Zazdrości mi on, który zabiera me życie!

Dona Sol.

Uspokój się!

(oddając płaszcz Donie Józefie).

Weź -- każesz, by to osuszono.

Hernani.

Więc ten starzec wyjechał z zamku, mówisz, dono?

Dona Sol (*z uśmiechem*).

O, jakiś ty wysoki!

Hernani.

Wyjechał?

Dona Sol.

Hernani!

Przestańmy myśleć o nim.

Hernani.

Myślmy o nim, pani!
Ten starzec kocha ciebie, masz być jego żoną! —
Ucałował, widziałem, raz tę twarz pieszczoną!
I nie myśleć? —

Dona Sol.

I oto, powód twej rozpaczy!
Całus stryja i prawie ojca, cóż to znaczy?

Hernani.

Całus kochanka, starca zazdrośnego. Potem
Należeć masz do niego. — Czy ty myślisz o tem?
Starzec głupi, co z białą, pochyloną głową,
By zakończyć swą długą pielgrzymkę życiową
Szuka serca kobiety! On, ten szkielet trupi
Po kwiat wiosenny sięga! Dziwny starzec, głupi!
Gdy dłoni się twej czepia jedną ręką stary, —
Za drugą śmierć go wlecze do ślubu — na mary!
Miłość naszą udręcza to serce zbyt dumne!
Starcze, miarę czas dać już grabarzom na trumnę!
— Kto kojarzy ten związek? Ktoś cię doń przymu- [sza. —

Dona Sol.

Król, mówią, pragnie tego.

Hernani.

Król? Nowa katusza!
Ojciec mój wszedł na szafot z jego ojca woli; —
Zestarzałem, lecz w sercu świeża rana boli!
Szukałem cię, Kastylii królu, bo złowieszcze
Nienawiści dwóch rodzin zarzewie tli jeszcze!
Lat trzydzieści ojcowie nasi przeciw sobie
Walczyli bez litości. Cóż że oni w grobie?
Zawiść żyje! Wrą zemstą w grobie ojców łona!
Synowie tu, więc walka jeszcze nie skończona!
Don Karlosie! Ty wspierasz zamiary książęce?
Szukałem cię — i oto, sam wpadasz mi w ręce!

Dona Sol.

Ty mię trwożysz!

Hernani.

Tak zemsty uświęcę ołtarze,
Tak przysięgę wykonam, aż się sam przerażę!
Posłuchaj mię! Ten człowiek, z którym król cię [wiąże,
Ruy de Gomez, stryj twój, ów don Silva Książe,
To magnat Arragoński, grand Kastylii, hrabia!
Za stary; lecz zgrzybiałość swą szczodrze ozdabia!
On cię złotem osypie, brylantami wkoło,
Tak, iż czoła monarchiń zaćmi twoje czoło —
I przepychu i blasku, bogactw i godności
Nie jedna z żon królewskich, księżnej pozazdrości!
Oto, czem jest ten starzec. — Mojem mieniem całem
Głucha puszcza, gdzie boso w dziecięctwie biegałem.
Być może i Hernani posiada herb, ale
Rdza ze krwi go okryła, więc nie błyszczy wcale.
I prawa ma on może i rodu zaszczyty,
Ale blask ich całunem szafotu okryty!
— Jeśli nieba kierować zechcą moją dłonią,
Ze szpadą wraz, z tej pochwy — i one zadzwonią!
A tymczasem mię niebo dziennym blaskiem darzy,
Powietrzem, wodą, — skarby najlichszych nędzarzy.
Zbadaj serce — czy za mną przemawia, czy za nim?
Wybieraj — lub być księżną, lub pójść za Hernanim.

Dona Sol.

Za tobą wszędzie!

Hernani.

Pośród tej ponurej dziczy,
Pośród tych ludzi, których imiona kat liczy?
Ludzi, których i serca i miecz twarde zawsze,
Których zemsta namawia na czyny najkrwawsze?
Ty, na czele mej bandy, jak ją świat nazywa?
Bo jestem... tak... bandytą! Nie wiesz nieszczęśliwa!
Gdy Hiszpanja ścigała każdy krok bandyty,
Gdym czaił się, lub w puszczy, lub w górach ukryty,
Lub w jaskiniach, gdzie orzeł dostrzegał mnie [zrzadka,
Katalonia przyjęła mię, jak dobra matka.
Wyrosłem tam, wśród górskich, z wolną piersią ludzi;
I jutro, skoro róg mój echo gór obudzi —
Trzy tysiące tych zuchów... Przejmują cię dreszcze?
Ty bledniesz? — Jeszcze pora! Zastanów się jeszcze!
— Iść ze mną w puszcz ostępy, w góry? — I do kogo?
Do ludzi, co jak widma snów przejmują trwogą;
Bać się głosu ludzkiego, spojrzenia — i prawie
Swych cieniów, pić ze źródła, a spać na murawie
I w nocy pierś odrywać od ustek anioła,
Na szelest kul, w powietrzu warczących do koła;
Błąkać się z potępieńcem — i gdy z dumą syna
Wejdzie na szafot ojca, pójść za nim jedyna!

Dona Sol.

Idę z tobą.

Hernani.

On świetny, mienie ma olbrzymie —
Po ojcu wziął don Silvów nieskalane imię —
On potężny. Przynosi ci ze swą osobą
Bogactwo, tytuł, szczęście...

Dona Sol.

Jutro idę z tobą.
Tak. — Nie gorsz się szaleństwem mojem niesły- [chanem!
Aniołem jesteś moim, czy zguby szatanem,
Ja nie wiem; lecz twą jestem niewolnicą. Stanie
Ta mężna pierś przy tobie tu i wszędy, panie.
Dla czego tak? Nie zgadnę. Tobą wzrok mój pieszczę;
Widzieć ciebie co chwila, dziś jutro i jeszcze
I wiecznie chcę. Odchodzisz — jak w grobową ciszę
Zapadam... Bicia serca, w tej piersi nie słyszę—
Bez ciebie — ja nie czuję, czy żyję, czy jestem...
I budzę się, jak z trumny, z twych kroków szelestem;
Przypominam, że żyję rozkosznie ockniona —
I dusza z twym widokiem powraca do łona.

Hernani (*tuląc ją w objęciach*).

Aniele!

Dona Sol.

O północy — jutro — przychodź drogi
Ze swojemi. Nie dojrzysz we mnie cienia trwogi!
Klaśniesz w dłonie po trzykroć!

Hernani.

A z moją osobą —
Wiesz co bierzesz.

Dona Sol.

Panie mój! Nic to, idę z tobą.

Hernani.

Idziesz ze mną, więc dziecię, ja odkryć ci muszę,
Jakie imię, stan jaki, — los i jaką duszę
Hernani ci przynosi za skarby sowite: —
Bandyta cię nie straszy — chcesz że mierz bannitę?

Don Karlos (*otwierając z trzaskiem szafę*).

I kiedyż brednie swoje zakończyć raczycie?
Wam się zdaje, że miałem pyszne tu ukrycie?

(Hernani cofa się zdziwiony — Dona Sol wydaje krzyk i rzuca się ku niemu, patrząc z przerażeniem na Don Karlosa).

Hernani (*z dłonią na rękojeści szpady*).

Kto ten człowiek?

Dona Sol.

O, Boże! Ratunku!

Hernani.

Na nieba!
Milczenie! Zazdrość czujna — budzić jej nie trzeba!
I nigdy w obecności mojej innej tarczy
Nad to ramię, nie szukaj! — Ono ci wystarczy!

(*Do Don Karlosa*).

Co robiłeś tam, panie?

Don Karlos.

Powiedzieć mi chce się,
Że się nie wałęsałem wraz z panem po lesie.

Hernani.

Kto szydzi po zniewadze, ten śmiech swój wspaniale
Zostawia spadkobiercy.

Don Karlos.

Kolej wszędzie. Ale
Do rzeczy! Kochasz, panie, tych czarnych ócz dwoje;
I co wieczór, w zwierciadle ich zatapiasz swoje.
Bardzo dobrze. I ja też ulegam ich sile
I dowiedzieć się chciałem, kto tu razy tyle
Wchodził oknem, gdym u drzwi stał zamkniętych.

Hernani.

Mogę
Ofiarować do wyjścia panu moją drogę.

Don Karlos.

Zobaczymy. Ja równie kocham piękną Donę
Więc się dzielmy. Jej serce tak uposażone
W miłość, dobroć, iż pani bez trudu obdzieli
Temi skarby rajskiemi obu wielbicieli.
— Otóż, dzisiaj, zagadkę chcąc rozwiązać, panie,
Za niego wzięty, wchodzę tutaj niespodzianie
Ukrywam się i słucham (prawdę mówię całą);
Dusiłem się okrutnie, a słyszałem mało —

I te suknie francuskie gniotły się nie lada —
Więc wyszedłem.

HERNANI.

I moja niecierpliwa szpada
Chce wyjść z pochwy.

DON KARLOS (*z ukłonem rycerskim*).

Jak życzy sobie pan łaskawy.

HERNANI (*dobywając szpady*)

Baczność.

(Don Karlos także obnaża szpadę).

DONA SOL (*rzucając się pomiędzy nich*).

Hernani! Nieba!

DON KARLOS.

Pani!... Stłum obawy!

HERNANI (*do Don Karlosa*).

Imię pańskie?

DON KARLOS.

Wpierw swoje racz mi odkryć, panie.

HERNANI.

Złowrogie ono, straszne. Gdy ta stopa stanie
Na gardle mego wroga, poczuje on razem
Grozę tego imienia, z tem w sercu żelazem.

DON KARLOS.

A imię tego wroga?

HERNANI.

Jego? Mniejsza o to!
Baczność! Broń się!

(Krzyżują szpady. Dona Sol pada drżąca na fotel — daje się słyszeć stukanie do drzwi).

DONA SOL (*zrywając się z przerażeniem*).

Stukanie do drzwi? Kto to?

(Zapaśnicy zawieszają walkę — małemi drzwiami wchodzi Dona Józefa, mocno zmieszana).

HERNANI (*do Dony Józefy*).

Kto stuka?

DONA JÓZEFA (*do Dony Sol*).

Cios straszliwy, na świętą Madonę!
Książę powrócił.

DONA SOL (*załamując ręce*).

Książę? Więc wszystko zgubione!
Nieszczęśliwa!...

DONA JÓZEFA (*rzucając okiem do koła*).

O Jezu! Nieznajomy — potem
Szpady i pojedynek!.... Co tu myśleć o tem?...

(Walczący chowają szpady do pochew; Don Karlos owija się płaszczem i nasuwa kapelusz na oczy; stukanie znowu się powtarza).

HERNANI.

Co począć?

(*Głos zewnątrz*)

To ja, dziecię!

(Dona Józefa robi krok ku drzwiom, Hernani ją wstrzymuje).

HERNANI.

Nie otwieraj, pani!

DONA JÓZEFA (*dobywając szkaplerz*).

Święty Jakóbie! Racz nas wspierać w tej otchłani!

(stukanie mocniejsze).

HERNANI (*wskazując szafę don Karlosowi*).

Skryjmy się!

DON KARLOS.

W szafie?

HERNANI.

Wejdź pan! Ja potrafię
Tak ścisnąć się...

DON KARLOS.

Dziękuję! Zaluźno w tej szafie!

HERNANI (*wskazując małe drzwi*).

Wyjdźmy tędy!

DON KARLOS.

Dobra noc. Ja się ztąd nie ruszę!

HERNANI.

O, odpowiesz mi za to! Klnę się na mą duszę!

(do Dony Sol).

Gdybym wejście zawalił?

DON KARLOS (*do Dony Józefy*).

Hola! otwórz pani!

HERNANI.

Co on mówi?

DON KARLOS (*do Dony Józefy, która stoi w osłupieniu*).

Otwieraj!

DONA SOL.

Umieram!... Hernani!...

(*d. c. n.*)

Maurycy Jokái.

Szkic biograficzny

przez A. Callier.

(Dokończenie).

Znaczniejsze powieści Jokáia, które w oryginale doczekały się kilku wydań, są następne: „Nabob węgierski“ „Zołtan Karpaty“, stanowiąca dalszy ciąg Naboba, „Smutne czasy,“ „Oceanija,“ „Przeklęta rodzina,“ „Biedni bogacze,“ którą w roku zeszłym czytali czytelnicy polscy pod zmienionym tytułem „Fatja negra“ (Gazeta Polska); — „Przewrotny świat,“ Nowy dziedzic,“ „Mody polityczne,“ „Jak się siwieje,“ „Błazny miłości,“ „Czarne dyamenty,“ „Gospodarka szaleńców“ i wiele innych.

Ostatnią powieścią Jokái'a jest „Serce kamienne,“ wychodzące w polskiem tłomaczeniu obecnie i zajmujące niesłychanie polskich czytelników, którzy dotąd nie znali węgierskiego poety, z większych jego utworów; nowell kilka tylko widzieliśmy w naszych przekładach oraz niezbyt szczęśliwie wybraną powieść: „Biedni bogacze,“ mówimy niezbyt szczęśliwie, bo zbyt wybitnie występują w niej właśnie wszystkie ujemne strony utworów Jokái'a a z dodatnich jeden tylko humor szczery, nie kryjący w fałdach uśmiechu gorzkiego sarkazmu, pozostał.

Inna rzecz w ostatniej powieści Jokái'a: „Tło kamiennego serca“ naszkicowane jest po mistrzowsku wielkiemi rysami; tłem tem jest rok 49 w Węgrzech; na niem snują się dzieje magnackiej rodziny, wielkie jak epopeja, szlachetne, proste w swej wzniosłości i bohaterstwie. Trzy postacie synów człowieka, co miał kamienne serce dla swoich a przystępne wyłącznie tylko ambicyi i dumie, określone w najdrobniejszych rysach psychologicznie głęboko i choć każda z nich odrębna, porywają nas wszystkie i unoszą; czy to ów Oedön poważny mąż stanu, prawdziwy patrycyusz dla którego obowiązek jest jedynem prawem, czy to Ryszard, dzielny żołnierz, dumny, ulegający pierwszym serca popędom, czy to wreszcie cicha, nieobyta ze światem natura, której nic wielkiego nie ukazano w dzieciństwie, coby ukochać mogła na życie całe, ten Jenö, dla którego Bogiem jest kobieta, kobieta ohydna i nikczemna — a który przecież w danej chwili rzuca własne życie na szalę losu by za jego cenę kupić spokój i szczęście rodzinie — wszyscy oni chwytają sympatyę czytelnika bo każda z tych postaci to nie mara ale krew, ciało, serce, każda wre życiem, czuje i działa. Powodzenie, jakiego ta powieść wśród polskich czytelników doznaje, najlepszym jest dowodem, że utwory Jokái'a są pokrewne naszym pojęciom, że autor ich umie trącić o te struny, które grają w naszych sercach i że przeto nie od rzeczy byłoby je przyswajać naszej literaturze belletrystycznej.

Na całkiem różnem znów tle rozwija się najwięcej przez świat i samego poetę ceniony jego romans: „Złoty człowiek“. Tu nic już z owych rozgłośnych wypadków, co wstrząsają ziemią niby gdzieś w jej głębinach ukryty wulkan od chwili do chwili rozsadzający tu lub owdzie jej powierzchnię; tu cię nie dobiegnie, czytelniku, ani wrzawa wojennej surmy, ani jęk umierających lub rannych; na kartach tych ani śladu pożarów, które zażega wojna, wiersze tu nie brzmią „tłumionym odgłosem kotłów i bębnów ściszonych suknem“. „Złoty człowiek“ to pyszne studyum psychologiczne, wypracowane w najdrobniejszych szczegółach, to pamiętnik bólów i walk duszy czystej, uczciwej w głębi a życiem przecież skalanej, to owa odwieczna walka ducha z najpotężniejszą z materyi — ze złotem, które go okuwa najsilniejszemi też pęty.

Michał Timar jest ubogim komisarzem kupieckiego okrętu, dzielnym aż do zuchwalstwa marynarzem, duszą prostą a pełną jednak tej poetycznej fantazyi, wrodzonej Węgrowi, która w magnacie przeradza się w butę i ekscentryczność, większą nieraz od sławionej ekscentryczności Anglika, ludowi zaś nadaje ową poetyczną, niezwykłą cechę, tak odróżniającą go w oczach turysty od ludów północnej i środkowej Europy. Nagle los rzuca na drogę Michała olbrzymie bogactwa jak w jednej z bajek czarodziejskich, nieszczęściem dłań wszakże nie rzuca mu tych skarbów bezkarnie ale daje za cenę—występku. Na dnie zatopionego okrętu obok trupa tureckiego baszy, leżą nagromadzone życiem całem mozolnie, jego skarby; — pokusa jest zbyt potężną — Timar jej ulega. Basza nie żyje ale żyje jego córka, naturalna jego dziedziczka; Timar wie o tem dobrze, co więcej Timar ją kocha lub może zdaje mu się, że ją kocha. Bladą tę na wpół rozkwitłą różyczkę haremu, zabiera on z sobą i wprowadza do domu dotychczasowego swego pryncypała, niezmiernie bogatego kupca; tu ją wychowają bo dziewczę ma dopiero lat 14, tu przyjmie chrześcijańską wiarę a wtedy Timar wejdzie w kompromis ze swem sumieniem, pojmie za żonę piękną Timeę i wróci jej ojcowskie dostatki. Serce dziewczęcia nie wchodzi tu w rachubę; podrzędna taka figurantka w domu bogacza kupca, niemal służebna, nie miałażby być szczęśliwą gdy ją los zrobi żoną majętnego człowieka?

A przecież..... W domu kupca jest jego jedyna córka, piękna klasyczną rysów formą, ponętna jak córy południa choć w treść pięknego ducha uboga; panna Atalija jest narzeczoną rotmistrza węgierskich huzarów i kocha narzeczonego całą potęgą swego dziwnie nieujarzmionego serca, któremu obcą jest nawet miłość dla rodziców i rodziny. I rotmistrz ją kocha; ale równo z dniem, w którym Timea przestąpiła próg domu Bracowiesów, pokrewnego rodzinie jej matki, poczynają się dla domu tego dnie niedoli; najprzód zwolna chwieją się stosunki majątkowe tak bogatego dotąd kupca, potem narzeczony Atalji pod pozorem, że mu nie wypłacają umówionego posagu, w rzeczy zaś samej dla tego, że prawdziwie, gorąco pokochał Timeę, w wigiliję ślubu zrywa ułożone małżeństwo, wreszcie stary kupiec umiera a wraz z całą śmiercią nadchodzi całej tej rodziny ruina.

Pyszny pałac, dobra, wszystko zakupuje Timar i wtedy prosi o rękę Timei. Z innem w duszy uczuciu idzie Timea przed ołtarz i daje na życie całe rę-

kę Michałowi, bo pewnie nikt nigdy tak wielką nie ukochał jej miłością — on jej ubogiej, służebnicy niemal, rzuca nagle pod stopy bogactwa, darzy swem imieniem i miłością. Za tyle darów nie należyż mu się jej ręka? Rękę też otrzymuje — nie serce. Timea dobra jak anioł, jak duch opiekuńczy jego domu pozostaje dlań zawsze ową bladą kobietą z marmuru, ową Galateą, w której posągowych kształtach ani na chwilę krew nie zakrąży, ani na chwilę nie zabije serce.

To też miłość Timara się kończy — staje zdumiony przed tą sfinksową zagadką, która przykuwa jego oczy, jego imaginacyę — ale nie serce. Serce rwie się znów jak dawniej w inne nieznane światy, nie wielkich czynów ale wielkich uczuć.....

Na wysepce Dunaju, otoczonej dokoła nieprzebytemi zaroślami, nieznanej nikomu prócz ludowi okolicznych wiosek, nie ulegającej dotąd panowaniu żadnego państwa poczyna się dla Michała ów raj marzony. Wyspę tę, na której mieszka tylko wdowa i sierota, zamienioną przez nich w piękny sad, stanowiący całe utrzymanie, Timarowi, jako odkrywcy, oddaje firman sułtana na lat pięćdziesiąt w posiadanie. Tem wszakże czego mu nie nadał firman sułtana a co go uczyniło szczęśliwym było serce Noëmi.

Noëmi to dziecko natury, kobieta taka, jaka przed wieki wyszła z rąk Stwórcy z głową i sercem nie skrzywionemi fałszywą cywilizacyą, której okruchy świat rzuca kobietom, ani pokorna pełzająca niewolnica, ani dumna, wszechwładna pani — kobieta-człowiek z gołębią prostotą pojęć, z wężową mądrością, z sercem prostem, czystem i kochającem, istnym wszech pięknych uczuć przybytkiem. Taką to Ewę na tle tego cichego raju, do którego nie dobiega wrzawa świata, ni krzyki prześcigających się spekulantów, ni łzy, ni nędze ludzkie — poznaje Timar i kocha.

Nie dziw też że Timar zapomina o bogactwach, o żonie, o rozpoczętych ryzykownych spekulacyach, które nieobecność jego może fatalnie zawikłać, o całym świecie złota i zaszczytów i ani postrzega jak całe lato spędza w tym cichym raju z ukochaną swoją Noëmi.

Za powrotem zastaje cały bieg interesów w najwzorowszym porządku, co więcej milijon puszczony w obrot w dziesięćkroć zwiększonym a wszystko to dzięki żonie, która ujęła w energiczne swe dłonie ster jego interesów i nową handlową kombinacyą nadała im ten zwrot nadspodziewanie świetny. Twarz jej marmurowo nieruchoma nie zdradza ani zdziwienia z tak długiej nieobecności męża, ani łez tajonych, ani wewnętrznych jakich dlań zarzutów, ni cienia nawet zwykłej ciekawości kobiecej. Ale sfinks ten milczący tem bardziej budzi w Timarze sumienie. Poczyna się dlań straszna walka, trwająca lata całe, lata podzielone na dwa życia, między dwa całkiem różne światy. Rwie się, szarpie i targa w nim serce i obowiązek, pragnienie spokojnego szczęścia i bezsilność rzucenia nieprawnie nabytego złota, to chęć wrócenia Timei swobody, to znów obawa jej utraty, lecz bądź co bądź nierozwiązana ta zagadka ciągnie i wabi go do siebie jak ów mytyczny Sfinks Hellenów.

Długo, długo trwa walka, wreszcie los ją przerywa i skraca wahanie Timara. Człowiek, co posiadł zagadkę bogactw i szczęścia Timara, chce mu tę świadomość sprzedać za cenę—nie pieniędzy, bo te choćby największe, nie dają ściganemu złoczyńcy rękojmi spokoju i bezkarności — ale za cenę wyspy nie ulegającej żadnemu rządowi i za cenę Noëmi. Timar poznaje wtedy czem mu Noëmi, stanowczo odmawia, choć nędznik grozi mu wydaniem go przed rządem i przed obu kobietami. Cóż go czeka? Wyzucie z majątku, kara więzienia ze strony rządu, pogarda Timei. Przed tem wszystkiem może uciec na wyspę Dunaju — ale pogarda Noëmi, ale odwrócenie się od niego jej serca — tego nie przeżyłby.

I nie chce też przeżyć. Idzie nocą księżycową w ślad za tym co ma zburzyć jego szczęście; wczorajszego wieczora na Balatonie wyrąbali rybacy wielką przerębłę w lodzie co ścina jego nurty. Rozszalały bólem, rozpaczą bezbrzeżną pada na kolana na lodu krawędzi, nim pójdzie w tę daleką drogę trzeba mu gwałtem pomówić ze Stwórcą, z tym Stwórcą, z którym dawno już, dawno nie mówił, trzeba mu ucałować tę ziemię drogą rodzinną której już nigdy oczy jego nie zobaczą. Ale gdy się nachyla by usta do tej lodowej przycisnąć skorupy, błyskający z za chmur księżyc oświetlił blade lice topielca wypływającego z pod lodu; — to palec Boży — Timar może żyć bezkarnie. Ale teraz nie chce. Rzuca życie fałszu i bogactw i na wyspie Dunaju nowe poczyna życie.

Tak kończy się najznakomitszy utwór Jokái'a, na którym i my zakończymy szkic niniejszy.

POGADANKA.

W wielkim jestem dziś kłopocie!

Mam porozmawiać o przeróżnych rzeczach z Czytelniczkami Tygodnika. Kwestye poważne są cokolwiek nudne; leksze, zdają się być grzechem w obec postępu, ciężkich walk i pracy. O czem tu mówić?

— Ha... dziwne pytanie! ozwał się z głośnym śmiechem pan Gerwazy. Pani żartuje. Którejże kobiecie zabrakło kiedy słowa lub przedmiotu? Ja jestem szczery, najłaskawsza pani. Wstrzymywać raczej trzeba niż podniecać. Gdy wyobraźnia raz skrzydła roztoczy, to leci... leci... leci...

— O, za pozwoleniem!... Wedle zdania panów, wyobraźnia ma skrzydła? My wątpimy o tem. Czyżby, szybując niedościgłemi szlaki, zdołała unieść te wszystkie głazowce które miotacie na kobiece głowy? Oj, pewno owe kamienie zarzutów tamują bujne słów waszych poloty; że zamiast podnieść nas z sobą wysoko, wy rażąc gromem, spadacie wraz sami, jak duchy za bunt i pychę strącone. Wielka wam sława! Poległ nieprzyjaciel, ale dąb liści na wieńce odmawia. Siły nierówne.

— Hm.... nierówne siły? Wieleby o tem mówić... Ja myślałem... już to wasze rączęta, choć drobne i białe, mają tę siłę, rzutność, tę.... dziwną wymowę...

— Wymowę? ręce?...

— Ej, nie! Mylę się co chwila. O czem ja to mówiłem? Szło o pogadankę. Przepraszam za zboczenia. Znajdę może radę.

— O proszę, bardzo proszę! lecz — bez złośliwości.

— A któżby śmiał obrażać rozmyślnie. Panie jesteście jasne jak gwiazdeczki, łagodne jak jagniątka, czułe jak gołębie. Rozmowa z wami musi być koniecznie czemś... czemś... bardzo milutkiem.

— Naprzykład?

— Styl kwiecisty... Znalazłem nareszcie! Eureka! Te kwiaty zeszły jakoś w porę. Rozmowa z wami, powtarzam raz jeszcze, to barwista równianka najwonniejszej wiosny. Lilija tam czyste poi kielichy, skromny fijołek pochyla główkę, narcyz... no, narcyz znaczy — samolubstwo, ale.... któż się nie kocha? Kochamy się wszyscy. Trzebaż choć siebie kochać nim się zakochamy. O czem to mowa? Myśli się splątały... o narcyzie!... Pamiętam... zawsze pamiętałem.

— Nad narcyz wschodzi róża — miłości królowa, na wschodzie zwana ogrodów sułtanką.

Roztacza wonne zwoje purpury...
Słońce ogniście spojrzało z góry;
Lecą wietrzyki... słowiki wtórzą:
„Różo!... o różo!..."

— Śliczną zaprawdę jest różyczka polna, lecz... ja przepadam zawsze za stulistną. Centifolia!.. co za wdzięk i dźwięk w nazwie samej.

— Tak, rzekłam, rachuneczek nigdy nie zawadzi. Sto — a kilka... jakaż to ogromna różnica!

— Panie bo zawsze jesteście zgryźliwe. Wszelka rachuba jest wam solą w oku; lecz, choć Rozynka trzech nie umie zliczyć, krocie tysięcy na paluszkach doda. Niech no zajedzie ktoś piękną karetką... zaraz zgadniecie ile przy niej wiosek. Bądź zdrów Filonie! i ty koszyczku słodkich malin! Arytmetyczka u was przedewszystkiem.

— A u panów?

— A u nas?..

— Podobno—stokrotki.

— Trudno!... Tu pan Gerwazy, ozdobił usta leciuchnym uśmiechem. W oczach jego migały przelotne iskierki, jak roje złotych pszczółek w promieniach słonecznych.

— Będą żądełka! pomyślałam z trwogą.

Przeczucia moje nie zwiodły mnie wcale. Oczy błyszczące wzięły kierunek ukośny, przysłaniając się nieco cieniem rzęs i powiek.

— Ach, pani, można ganić tę praktyczność życia, której nas same codziennie uczycie? Mój przyjaciel, Antoni, wziął wczoraj arbuza, bo panna lubi tylko ananasy. Dawniej go zapewniała przy blasku księżyca, mruganiu gwiazdek i szmerze strumyka, że przestanie na wiśniach i zdrojowej wodzie. Wierzże tu białogłówce! Nic zatem dziwnego że i my chcemy czegoś na posiłek.

— Posagu?

— No... co czynić na te ciężkie czasy! Panieście temu winne. Gdyby wasze wymagania były umiarkowańsze, postać całego świata wnetby się zmieniła. Znikłyby może suknie powłóczyste, zbytkowne stroje i wystawa szyku, ustępując przed szczęściem domowej zaciszy, pracą zaszczytną i siłą słodyczy, która...

— Zbiera tam osty, gdzie zasiała kwiaty. Słowa są, lecz gdzie czyny moi panowie? Niech się zjawi panienka skromna jak fijołek, w skromniejszej jeszcze, choć czystej sukience, jakimże chłodnym witacie ją wzrokiem! bo.... w waszej myśli tylko.... centifolia.

— Ostro, aż miło! odparł pan Gerwazy. Dowód— że nie ma różyczek bez kolców. Oj, te kolce! te lube, drobniuchne kolczyki! ale jak się w dłoń wpiją albo w żywe serce... bądź zdrów!

— I ciernie także dłonie nam kaleczą.

— Ciernie? To do nas malutka przymówka. Czemuż więc panie po cierniach depczecie? Złe się omija lub zdala obchodzi. My milczymy — przez grzeczność, lecz pani, jak widzę, ceni wolność przekonań; a więc posłuchajcie, wy cudne róże ziemskiego padołu, słów nagiej prawdy.

— Tylko zwolna, proszę!.. wyrzekłam ciszej, nieco przerażona tym wzbierającym potokiem wymowy.

— Czemu zwolna? Czyż słowo prawdy jest obrazą? Jednakie prawo zarówno nam służy. Emancy-

pacya, którą dziś głosicie stawia was wszystkich na jednym poziomie. Mąż wręcz mężowi prawdę wypowiada; kobietę czasem oszczędza... przez grzeczność. Lecz chcecie same, a więc — precz z grzecznością, precz z czułostkami i ócz zawracaniem! W waszych poglądach brak pewnej harmonji. Żądacie wiele, nic w zamian nie dając. Chcecie być doktorami i profesorami, a jednak żadna z was się nie obraża gdy ją nazwiemy liliją lub różyczką. Wszak nie stawiałaś pani opozycyi przed małą chwilą.

— Jedynie — przez grzeczność. Zapomniałam z kim mówię, odrzekłam z uśmiechem.

— Znowu koleczki! syknął pan Gerwazy. Gdybyście założyły gdziekolwiek fabrykę cieniuchnych śpilek, zysk byłby ogromny.

— Pomyślimy i o tem. Rzemiosła na czasie. Kwestya żywotna. A teraz pan kończ z ową harmoniją.

— Skończę niezadługo. Tedy, panie wzdychacie, z piedestału wiedzy za wyżyną katedry lub obserwatoryum, pomijając szczyt wzniosły na którym stanęła święta godność kobiety — patronki ogniska.

— Ztąd wniosek?

— Że wyżynę kryją wieczne śniegi. Chłód jasnej wiedzy mrozem nas owiewa. Nie mogąc wytrwać— cofacie się z drogi, czyn zamieniając na wrzawliwe słowa. Słuszne zarzuty zbijacie z uporem, patrząc w zwierciadło czy wam z tem do twarzy. O tak, tak, moje najłaskawsze panie! Ładnie wam, aż zanadto, na nasze nieszczęście, bo jaki to rumieniec ożywia wam lica, jaki blask tryska z przyćmionej źrenicy! Powiem nakoniec wszystko. Są to nowe sidła na naszą łatwowierność; maluchny dodatek do treny, bransoletek i modnej fryzury. A te ruchy i minki? Jesteście nieznośne, kapryśne, nielogiczne i zarozumiałe! przytem.... nieco zalotne. Proszę mi wybaczyć. Same nam dowodzicie że kobieta żyje na to aby się.... komuś podobała. To straszne! Nie przecz pani. Widzę gromy w oczkach. Nie szkodzi! I my także bierzemy za swoje! Dowodzenie stwierdzone tutaj uczynkami. Co znaczą owe puszki, kwiaty, złote pyłki, a nawet czasem róże i czernidła?

Tu pan Gerwazy w zapale oracyi, musnął po włosach misternie i... o cudo! na palcach pozostał znak farby. Szepnęłam więc jakby do siebie:

O jak smutne zdarzenie!
Nie, to nie jest złudzenie...
Zabłysł nam jasny dzień!
Dłoń nagle włos ujęła;
Zaledwie się dotknęła
Prawda zapadła w cień!

— Nie rozumiem, rzekł nieco ciszej pan Gerwazy. Pani trawestowałaś aryetkę z opery.

W tem spojrzawszy na palce swojej prawej ręki spłonął dziewiczym prawie rumieńcem. Możnaż potępiać rzecz wcale niewinną? Pan Gerwazy liczył już latek pięćdziesiątkę i — był jeszcze do wzięcia!

— Pani najłaskawsza, rzekł z lekkim niepokojem, mówiliśmy właśnie...

— Że kobiety, pomimo uczonych uroszczeń są tylko...

— Zalotnemi, skończył pan Gerwazy. Cel ich i cała żywotna tendencya jest — zamążpójście.

— O rodzie motyli! o rodzie bezmyślny o myślach zdradzieckich! patrz jak cię gromi ta druga połowa nie chcąca się podobać.

Spojrzenia moje pobiegły znienacka pod stolik, kędy nasz zacny pogromca tarł palce rożkiem chustki. Farba nie puszczała.

— O!... rzekł kiwająco głową, w oczach pani błyska coś... niby żarcik.

— Bynajmniej, odrzekłam. Myślałam tylko że i mędrcy czasem radziby się podobać. Człowiek—jest człowiekiem.

— Nie zawsze.

Odgłos dzwonka przerwał nam rozmowę. Roznosiciel pism smutne przynosił nowiny.

Gdy żartujemy kędyś huczą gromy z burzą.

Z Anglji donoszą o strasznej ulewie. Doliny Devonshiru miały stać pod wodą, w Glouchestershire zaniechano robót po fabrykach, w Monmouth zaś utonęło aż trzynaście osób. Po ulicach pływają łodzie.

Nie lepsze wiadomości przychodzą ze Szląska, gdzie deszcze spadły na zaczęte żniwa. Tylko ziemniaki wróżą zbiór obfity.

Z chmurami niebios ciągną chmury żywe, które tym razem wędrują po ziemi. Szarańcza piesza wyniszcza zasiewy w gubernii Czernichowskiej. Dziwnie się plecie, na dziwnym świecie. Jednym za wiele wody, drugim ognia.

W okolicach Wiborga gorają lasy. Pożar w trzech miejscach trwa od dwóch tygodni. Pod nową Kirką, wzdłuż kolei żelaznej Finlandzkiej, palą się krzaki, korzenie i torfy. Nas dolatują jęki z innej strony, budząc odgłosy silnego współczucia. Lecz na co słowa? Tylko pomoc skora poprze je czynnie.

Pułtusk zamienił się w dymiące zgliszcza.

Dobre matki, wspomnijcie na małe dzieciny bez dachu i bez chleba. Niech każda ręka datek swój położy.

Pan C. w odcinku Kuryera Codziennego, maluje nam tak żywo losy pogorzelców, tak gorąco i zacnie przemawia za nimi, że niepodobna by owa skarbonka, którą z ufnością ku bliźnim potrząsa, została próżną. Dorzucajmy grosz wdowi z serdecznem życzeniem: „Boże dopomóż!“ Zdarza się sposobność. W Niedzielę pierwszy koncert w Szwajcarskiej dolinie, na dochód pogorzelców. Tem większa zachęta! Zebranie, jak się zdaje, będzie dosyć liczne.

Dzisiejsza pogadanka splotła się niechcący w tkankę jasną i ciemną. Tak samo i życie mknie zmienną przędzą smutku i radości.

Ci co się dzielą z nami lepszą dolą, zdolni są także podzielić się troską. Wierzymy. *M.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

W. Ks. Władysławowi K. w Koszowaty. Już dawno odpowiedzieliśmy, iż wyjątki misyi w Teksas bylibyśmy wydrukowali gdyby wolno było porobić pewne niezbędne małe poprawki. Prosimy zatem o zezwolenie na to, a natychmiast rękopism stosownie użyty zostanie.

Pani Natalji K. w Kijowie. Sprawunki wysłane już zostały ze szczegółowym rachunkiem. Jak dojdą na miejsce prosimy donieść czy odebrane zostały bez uszkodzenia.

Panu Karolowi Z. w Jedlonce. Fortepian wskazany już został kupiony, ale jest tu drugi podobny ciemno orzechowy z fabryki Zdrodowskiego, jeszcze bardzo dobry i tak mocno zbudowany, że po dwuletniem niestrojeniu nadzwyczaj mało odstrojony został. Ostatnia za niego cena rs. 200 na miejscu—paka zwykle kosztuje do rs. 10. Przesyłką jego chętnie się zajmiemy.

Pani Pelgji B. w Zawadach. Cieszy nas bardzo że Przyjaciel tak zbawienne środki wywiera na czytające go dzieci i że tak chętnie przez nie jest czytany. Największem naszem staraniem jest tak redagować, aby pożądanym go robić dla dziatek nie przez namowę ale z własnej chęci. Bywają też częste wypadki, że wyrzekają się wszelkich innych podarunków byle tylko Przyjaciel został zaprenumerowany. Doniesienie Pani o poprawieniu się Zosi po przeczytaniu powiastki Pani Guzdralińska, nie jest pierwsze jakie odebraliśmy. Podobnej treści listów już bardzo wiele do nas napisano, a między niemi były listy od samych dzieci, w których z całą naiwnością donosząc nam, o poprawieniu się z różnych wad i błędów po przeczytaniu odpowiednich powiastek, dziękują za nie bardzo, proszą o podobne i w dowód wdzięczności przysyłają dla Przyjaciela ukłony a nawet całusy. Nieraz sama groźba zawiadomienia Przyjaciela o jakiej wadzie trudnej do wykorzenienia już bywa dostateczną do naprawy. Unikamy jednak starannie przedstawiania wad zbyt rażących i nagannych, bo te mogą zaszkodzić a korzyści żadnej nie przyniosą.

Pani P. K. w Lelwianach. W redakcyi Tygodnika Ilustrowanego oświadczono nam, że numera zaległe z kwartału 3-o b. r. wysłane zostały pocztą d. 21 Lipca.

Pani C. D. E. Pieniądze nadesłane do składu perfumeryi zagranicznej W. B. Śniechowskiego zwrócone zostały, skutkiem śmierci adresanta i nie załatwienia w pierwszej chwili potrzebnych do tego formalności. Dziś wszystko to zostało dokonane i dla tego przesyłka pieniędzy do składu perfumeryi pod firmą W. B. Śniechowskiego może być z pożądanym skutkiem dopełnioną.

Przyjaciela Dzieci Nr 33 wyszedł z druku i zawiera:

Bajkał (z drzeworytem). — Żniwa (wiersz). — Naparstek (ciąg dalszy). — Róża Gawona — Czyny nauczające. *w Dodatku:* Przechadzki z nauczycielem (z drzeworytem). — Uczyć się trzeba (wiersz). — Dobra rodzina.— Daj, Daj! — Koroniarka guayańska.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Іюля (11 Августа) 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 32.

(Dokończenie).

Rycina 37 przedstawia chusteczkę z szerokim kolorowym obrębem, złączonym także ażurową kratką i ukrojonym z prostego materyjału, jak to wskazuje ryc. 38; górna wązka pliseczka złączona kratką z obrębem, przystębnowana jest do brzegów chusteczki. Trzecia z kolei elegancka i najefektowniejsza chusteczka załączona na ryc. 39 ma 4 cent. szeroki szlaczek, zszywany naprzemian z kawałków 2 1/2 cent. szerokich, niebieskiej indiennė i walansyjenki 1 1/2 cent. szerokiej. Szlak połączony jest z chusteczką paskiem walansyjenki 4 cent. szerokiej. W rogach chusteczek wyznaczane są monogramy białe lub z kolorem szlaku.

N. 40. Kapelusz ogrodowy. Opis przy ryc. 10 w N. 31. Krój w dodatku N. IV, Fig. 8—10.

N. 41. Fartuszek formą tuniki. Krój w dodatku N. III, Fig. 6—7.

Fartuszek odszyty z jedwabnego, czarnego repsu, nową i zręczną formą tuniki, zakończony jest 6 cent. szeroką skośną plisą z czarnego aksamitu, przytwierdzoną od góry pasmanteryją jedwabną z perełkami 5 cent. szeroką. Prosty, 2 cent. szeroki pasek fartuszka ozdobiony jest sutą kokardą, pod którą fartuszek zapina się na haftki.

Opis do N. 33.

N. 1. Ubranie letnie z mantylką. Krój tuniki jak do ryc. 21—22 w N. 28.

Przy sukni beżowej piaskowego koloru, plisy, szerokie obłożenie tuniki, wypustki i mankiety, są z fularu tego samego koloru. Szeroki garnirunek spódnicy stanowią skośne falbany, bufy płaskie, kilka razy przemarszczane i plisy z nagłówkami, naszyte w sposób na ryc. 1 wskazany. Tunika oszyta szerokiem, do boków stopniowo zwężonem obłożeniem. Szarfy łączące tunikę z tyłu są z beżu i fularu z podszewką z muślinu. Czarna kaszmirowa mantylka, oszyta 3 razy falbanką fularową, wyciętą w ząbki i pasmanteryją, kokardy są ze wstążki w mantynie.

N. 2. Suknia z muślinu albo z lino.

Model odrobiony był z białego muślinu; garnirunek jaki przedstawia nadaje się zarówno do sukien z kolorowego lino, przy których plisowanie może także być z białego muślinu. Spódnica przybrana falbanami z przodu 10, z tyłu 14 cent. szerokiemi, oszytemi plisowaniem 10 i 8 cent. trzymającem, z nagłówkiem 2 cent. i wszywkami koronkowemi 3 cent. szerokiemi. Przy tunice wstawki są wzdłuż wszywane, a na plisowaniu przy nagłówku naszyta 5 cent. szeroka, trochę nadmarszczona koronka. Stanik bluzkowy z baskiną, zeszyty z pasów muślinu i wstawek, oszyty u dołu wstawką i koronką. Rękawy ubrane plisowaniem, koronką i wstawką. Podłużne cięte szarfy 24 cent. szerokie oszyte są wstawką i zakończone obrębem 3 cent. szerokim.



N. 1. Ubranie z mantylą. N. 2. Suknia muślinowa.

N. 3—4. Przykrycie na stół. Haft kolorowemi jedwabiami.

Materyjał: Sukno, ryps, lub płótno żaglowe; żółty, lila, jasno-szafirowy, karmazynowy i orzechowy sutasz jedwabny, sznur kręcony niebieski, różowy i biały. Kordonek w dwóch cieniach: niebieski, różowy, żółty, orzechowy, zielony, biały, szafirowy i karmazynowy. Sznureczek złoty.

Środek serwety zdobi bukiet goździków różno-kolorowych, haftowany ściegiem płaskim, jedwabiem kordonkowym lub pelą, odpowiednich kolorów. Szlak w koło odrabia się kordonkami, sutaszem, sznurkiem i nitką złotą; podług deseniu podanego w naturalnej wielkości na rycinie 4-tej. Piękny ten szlak użyty być może także na kapy, poduszki i t. p. W miejsce bukietu haftowanego, do serwet na tle z płótna żaglowego, można ułożyć bukiet z kwiatów i liści wyciętych z kretonu, a sutasz jedwabny zastąpić wełnianym. Rodzaj użytych ściegów i układ cieni, wyraźnie wskazuje ryc. 4. Dokładnego opisu doboru i mieszania kolorów podać niepodobno, bo to zależy od gustu i koloru tła.

Jako wskazówkę roboty, opiszemy jak na modelu wykonane były zewnętrzne, brzeżne liście szlaku. Górne łączące je ząbki są z sutaszu orzechowego, przeszytego przez wierzch jedwabiem zielonym; brzegi zaś liści odznaczone naprzemian sutaszem żółtym, przeszytym jedwabiem orzechowym, lila, przeszytym zielonym i niebieskim, ściegami białemi. Żyłki są wszędzie złote, a ściegi podłużne w liściach żółtych są orzechowe w dwóch cieniach, w lila zielone, a w niebieskich różowe i karmazynowe. Prosty szlaczek za liściami odznaczony jest białym sznurkiem, przeszytym kordonkiem karmazynowym i karmazyn. sutaszem, przeszytym kordonkiem białym. Ząbki w środku są ze sznureczka złotego, przyszytego kordonkiem ciemno zielonym, a proste w nich ściegi różowe. Pod wykończoną serwetę daje się podszewkę, a brzegi oszywa grubym, kręconym sznurem kolorów mieszanych, użytych do haftu.

N. 5—13. Pończochy damskie, dziecinne i skarpetki robione szydełkiem.

Materyjał: miękka niezbyt gruba włóczka krajowa i szydełko drewniane długie, zastosowane do włóczki.

Już w przeszłym roku podaliśmy pończochę robioną szydełkiem, której jednak można było uczynić niejakie zarzuty co do formy, dzisiejsze wzory są przez wprawną rękę udoskonalone, a załączona tabelka wskazuje dokładny obrachunek ośmiu różnych wielkości pończoch i skarpetek. Ryc. 5 przedstawia wykończoną skarpetkę męzką, a ryciny 7 i 8 pończochę gładką i w paski. Szlaki górne robione są na drutach, na przemian dwa oczka gładko dwa kręto, palce tak u pończoch jak i u skarpetek, zagubić można na drutach podług ryc. 6, albo szydełkiem podług ryc. 11 lub 12. Cholewkę robi się jednakowo do pończoch i skarpetek, stosując tylko podług założonej tabelki liczbę oczek i obrobień, do wielkości nogi lub wieku. Piętę odrabia się podług tabelki i zakończa jak na drutach w sposób na ryc. 10 wskazany, następnie nabiera z boków i gubi stopniowo na kliniki.

Ponieważ pończocha nie może być robiona w około ściegiem tunetańskim, więc po wykończeniu musi być z lewej strony zeszyta lub złączona szydełkiem, wzdłuż cholewki i pod stopą od spodu. Dobra forma pończochy wiele zależy od równości roboty i dobrze dobranego szydełka, robiona zbyt luźno nadto się ciągnie, źle leży i nie jest ciepła.

Szlak na drutach, do pończoch odrabia się 20—30 razy, do skarpetek 50—60; przy zaczęciu ściegu tunetańskiego dogodnie z początku robotę na dwa lub trzy szydełka rozdzielić, zbyteczną liczbę oczek w równych odstępach zgubić, a dopiero odrobiwszy kawałek na jedno szydełko połączyć. Zwykle liczbę oczek robionych na drutach zmniejsza się na szydelko o 24. Gubienie czyli zwężanie cholewki zaczyna się podług tabelki i następuje co 3 lub 4-ry obrobienia; na początku gubi się zawsze 3 oko z drugiem, a na końcu rzędu 4-te z 3-ciem. Zgubiwszy wskazaną na tabelce liczbę oczek robi się równo aż do pięty. Na ryc. 10 daliśmy próbkę pięty do pończoszki N. 8 ażeby przy małej ilości oczek robotę ile możności najdokładniej przedstawić; a prócz tego radzimy na takiej małej pończoszce, robotę wypróbować, Przy pończoszce po wykończeniu brzegi cholewki były obrobione ścisłemi oczkami, i z lewej strony zeszyte; w górze pozostało o. 34, z których połowa pozostawia się na zwierzchnią część stopy a druga część, w której zeszycie na środku wypada, bierze się na piętę, dwa brzeżne oczka przy zeszyciu zrabia się razem, piętę obrabia tam i napowrót 6 razy, poczem zaczyna się zagubianie na które w środku zostaje o. 5 a po bokach po 6 o. które następnie zrabia się ze środkowemi. Połączeniu czyli zrabianie wykonywa się odmiennie z każdej strony i dla tego rozdzieliliśmy na próbce robotę na dwa szydełka. Idąc do prawej ręki po ostatniem ocz. środkowem, dwa następne boczne oczka zrabiają się razem, następnie w te oczka przeciąga się drugą pentelkę a w ten sposób zachowuje się poprzednią liczbę oczek. Potem nabiera się w następne oczka, ku lewej rę-

ce, pojedyncze pentelki aż do o. bocznych, z których dwa pierwsze są także oddzielnie nabrane a potem razem przerobione.

Przerabiając znów ku prawej ręce przeciąga się pojedynczo wszystkie oczka aż do końcowych, w które brało się podwójną pętelkę, to przeciąga się razem z następnem o. bocznem, tak że zebrało się aż 3 oczka, następnie w pierwsze nabiera się pętelki, środkowe opuszcza czyli gubi, a w trzecie bierze



N. 3. Serweta. Haft kolorowymi jedwabiami. Patrz ryc. 4.

pętelkę podwójną, tak jak w pierwszem obrobieniu. Nabierając pętelki ku lewej ręce przez oczko końcowe przeciąga się z następnem boczne.

W taki sposób stosownie do wielkości pończochy przerabia się jeszcze 2 lub 4 razy, tak iż ócz środkowych przybywa, a pięta zagubia się okrągławo, dalsze gubienie następuje już prosto, jak to widać na ryc. 5. Po wygubieniu wszystkich o. bocznych, zakończa się nitkę i ucina, ażeby następnie zacząć robotę od środkowego o. pięty i przerabiać w jednym ciągu przez oczka pozostawione na wierzchnią część stopy i przez boczne o. pięty, nabrane jak w pończosze robionej na drutach. Tu wypada jak przy zaczęciu cholewki oczy na 3 szydełka podzielić, następnie robiąc tam i napowrót, gubić w sposób na tabelce wskazany. Potem odrobić stopę gładko i wygubić w palcach na drutach lub szydełkiem, podług ryc. 6, 11, lub 12.

N. 14—15. Dwie krótkie spódniczki.

Metodę kroju podawaliśmy w roku zeszłym.

Z pięciu brytów materyjału, trzymającego 78 cent. szerokości przykroić można dwie spódniczki; z jednego bowiem kraje się przód i kliny, których jest tylko dwa, a w tył daje się $1\frac{1}{2}$ prostego bryta.





N. 4. Szlak do serwety ryc. 3. Haft jedwabiami.

N. 14. Spódnica barchanowa.

Garnirunek składa się z paska piki w muszki, 4 cent. szerokiego, z plisek z perkalu i takiejże falbanki 4 cent. szerokiej. Pas pikowy naszywa się 6 cent. od dołu i zdobi wązkiemi, skośnie przystębnowanemi pliskami, dawanemi w odstępach 3 do 4 centymetrów. Od dołu naszycie piki i falbanki przykrywa pliska, 1 cent. szeroka, dwie górne trzymają $1^1/_2$ centymetra.

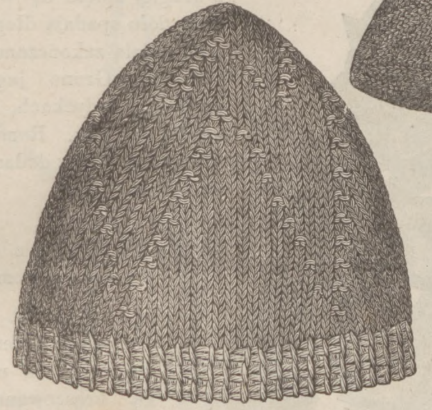
N. 15. Krótka spódniczka z szyrtyngu.

Wolant mający 19 cent. szerokości, u dołu ozdobiony jest dwoma wstawkami *(tryming)* wszytemi pomiędzy stębnowane listewki i szeroki stębnowany obrąb.

U góry wolant zakończony jest nagłówkiem $1^1/_2$ cent. szerokim, przeszytym pliską, mającą $^3/_4$ centymetra. Obie spódniczki wszyte są w pasek z przodu trochę w ząb ścięty lub zaszyty, do którego przedni bryt wszywa się gładko, tylne bryty przymarszczają się a prócz tego pasek daje ściągać się i wiązać na wewleczoną tasiemkę.



N. 5. Skarpetka szydełkowa. Patrz ryc. 6 i 13.



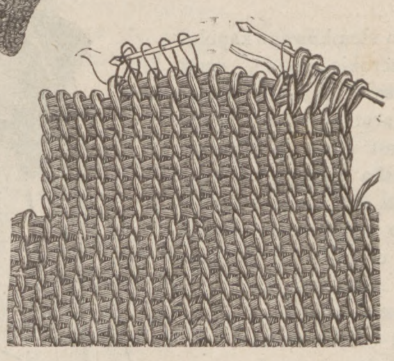
N. 6. Zakończenie palców do skarpetki szydełkowej ryc. 5.



N. 7—8. Dwie pończochy szyd. P. r. 9—13.



N. 9. Połączenie brzegów pończochy ryc. 7—8.

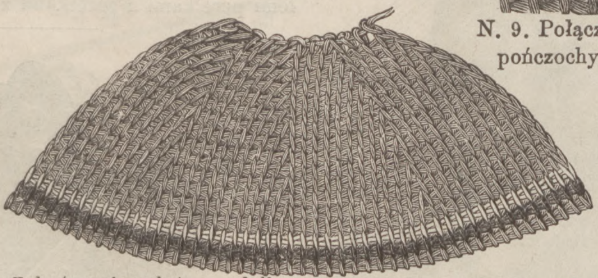


N. 10. Robota pięty w szydełkowej pończosze.

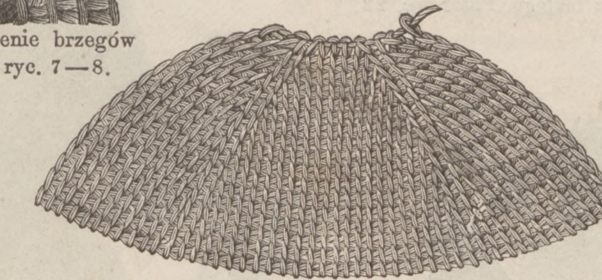
N. 18—20. Woreczek z szarego płótna, do pończoch.

Materyjał: Płótno szare, pąsowa wełniana tasiemka, plecionka i sutasz, włóczka berlińska i angielska i jedwab pąsowy, biała pika.

Woreczek ten przeznaczony jest do składania pończoch do cerowania, wewnątrz dodane są kieszonki na kłębki z różną bawełną i t. p. przybory. Na woreczek potrzeba dwóch kawałków płótna, 52 cent. długich, a 34 szerokich, u dołu zaokrąglonych a ku górze skośnie do 26 cent ściętych. Z obydwóch stron na wierzchu dodane są kieszonki, 33 cent. długie, a 23 szerokie, u dołu zaokrąglone a ku górze skośnie ścięte. Deseń na kieszonkach wyszywa się kolorową włóczką, a pończochę wycina z piki i daje jako aplikacyję, albo też cały deseń rysuje na papierze przykrywającym całą kieszonkę wycina podług rysunku i maluje sposobem nakrapianym. Zeszycie woreczka i brzegi kieszonek objęte są wełnianą taśmą; do ozdobienia woreczka i kieszonek służą kuleczki sto-



N. 11. Zakończenie palców szydełkowej pończochy ryc. 7—8.



N. 12. Zakończeuie pończochy z zagubianiem oczek z boku do ryc 7 8.



N. 14. Spódniczka barchanowa.

Tabella uzkazująca robotę **szydełkowych pończoch.**

		Długość zaczęcia robionego na drutach 30 rzędów.	N. 1. Pończocha, wielka	N. 2. Pończocha, średniej wiel.	N. 3. Pończocha na małą nogę.	N. 4. Skarpetka wielka.	N. 5. Skarpetka mniejsza.	N. 6. Pończoszka dla 6 letniego dziecka.	N. 7. Pończosz a dla 4 letniego dziecka.	N. 8. Pończoszka dla 2 letniego dziecka.
Zaczęcie brzegu robotą drutową	oczek:		100	96	94	80	76	76	74	70
Zaczęcie szydełkowej roboty .	oczek:		76	72	70	56	52	52	50	46
Gładko t. j. bez gubienia i przybierania	rzędów:		22	18	16	24	20	14	12	10
Gubić so trzeci rząd	razy:		13	11	10	—	—	8	6	5
Gładko aż do pięty	rzędów:		16	14	14	—	—	10	8	8
Spodnia część pięty	oczek:		54	50	48	56	52	38	36	34
Wysokość pięty	rzędów:		12	10	9	12	12	8	7	6
Gubienie klinika	razy:		10	8	8	8	8	8	6	5
Po skończeniu klinika	oczek:		52	48	44	54	50	36	34	32
Gładko aż do czubka	rzędów:		18	14	12	20	16	14	10	8

N. 13. Tabelka z wyliczeniem oczek na pończochę, skarpetkę i pończochę dziecinną robotą szydełkową. Patrz ryc. 5—12.



N. 15. Spódniczka z szyrtyngu.

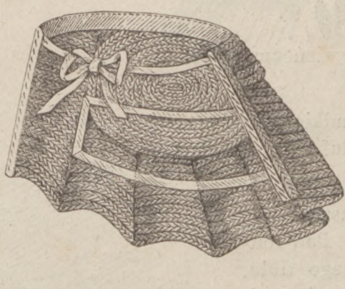
N. 16—17. Turniura z plecionek słomkowych.

Ryc. 16—17 przedstawia z wierzchu i ze spodu turniurę urządzoną z plecionek słomkowych, której część główną stanowią plecionki zeszyte prawie w półkole, mające 25 cent. środkowej, a 15 bocznej szerokości, w górze ułożone w 6 wypukłych, do dołu rozszerzonych fałd. Na wierzch dodane są drugie plecionki 8 cent. szerokie, z boków gładko wyłożone, a w środku przyfałdowane. Owal z plecionek słomkowych zeszyty, trzymający 17 cent. wzdłuż, a 13 w szerz, podszyty jest od spodu dla nadania większej wypukłości turniurze; w tym samym celu dodane są jeszcze tasiemki, przyszyte w sposób na ryc. 17 wskazany. U góry turniura wszywa się w gort mocny, do którego przymocowane są tasiemki do wiązania z przodu.



N. 16. Turniura plecionaze słomki. Wierzch do ryc. 17.



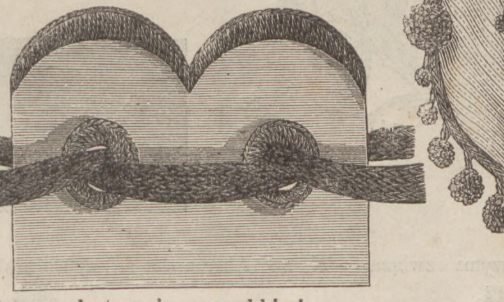


N. 17. Turniura pleciona ze słomki. Strona spodnia do ryc. 16.

pniowej wielkości, robione z włóczki berlińskiej. Brzegi górne ozdobione są haftem podług próbki N. 19 lub 20 i urządzone do ściągania w sposób na tychże próbkach wskazany.

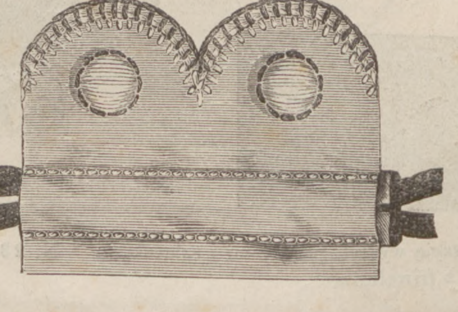
N. 21. Ubranie z vêtement. Krój podług ryciny 25 i 26 w N-rze 18.

Przy sukni z jasno brązowego beżu, vêtement oszyte jest plisami z fularu ciemniejszego cieniu, które u vêtement mają 6 cent. a u baskiny krajanej razem z pleckami 4 cent. szerokości. Na staniku dane jest ubranie chusteczkowe, z fularu ciętego skośnie, w tyle zeszyte w róg jak chusteczka, z przodu stopniowo zwężone, podszyte muślinem i beżem i zakończone w górze beżową wypustką. Kamizelkowa szmizetka jest także z fularu.



N. 19. Górne zakończenie w ząbki i przewleczenie plecionki do ściągania woreczka ryc. 18.

N. 18. Woreczek na drobiazgi lub do pończoch. Patrz ryc. 19—20.

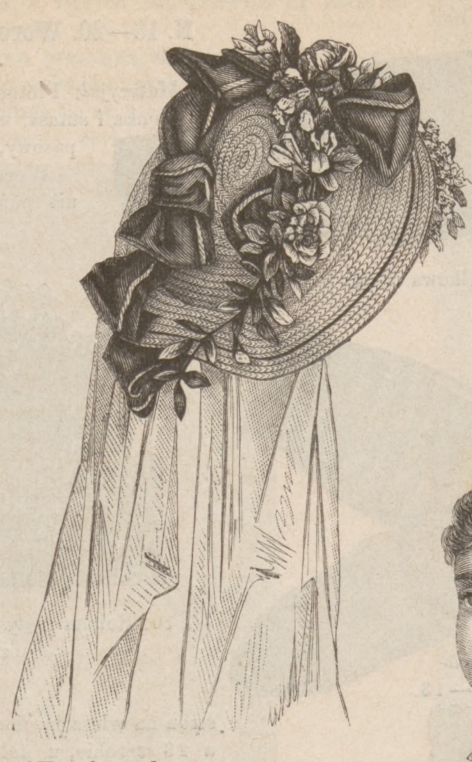


N. 20. Zakończenie górne odpowiednie do woreczka ryc. 18.

Mankiety przy rękawach urządzają się na muślinie sztywnym, z plisek beżowych z wypustkami z fularu. Kokardy przy rękawach, z przodu i z tyłu przy chusteczce są ze wstążki.

N. 22 i 23. Kapelusz słomkowy z białemi tiulowemi barbkami.

Rondko białego słomkowego kapelusza, 5 1/2 cent. szerokie, na 1 1/2 cent. od brzegu, ma wszytą pomiędzy słomkę, wypustkę z czarnego rypsu, a od spodu podszyte jest czarnym fałdowanym tiulem, z pliską rypsową od brzegu. Skośnie cięte, 11 cent. szerokie kawałki czarnego rypsu z obrąbkiem 1 cent. szerokim, ozdobionym białą rypsową wypustką, służą na kokardy do kapelusza, upięte w sposób na ryc. 22—23 wskazany. Blado-lila róże i trochę ciemniejsze powoje z liśćmi zielonemi do cieniu, dopełniają sute ubranie i podpięcie kapelusza, którego barbki białe tiulowe, 105 cent. długie a 37 szerokie, mogą być wiązane z tyłu lub pod brodą.



N. 22. Kapelusz słomkowy przybrany wstążką, kwiatami i końcami z tiulu białego. Patrz ryc. 23.



N. 24. Słomkowy kapelusz z rondkiem podniesionem z przodu.

N. 25. Kapelusz z girlandą z liści.

Wysoka główka słomkowego kapelusza, z jednej strony opasana jest przewijaną wstążką i girlandą z liści z drugiej upięte są w górę kokardy, a do dołu spadają długie pukle i siepaną frendzlą zakończone końce z tejże wstążki. Grono jagód na długich, miękkich łodyżkach, spuszczone jest z tyłu na włosy. Rondo podpięte przewijaną wstążką z dodaną z boku kokardą i gałązką liści.

N. 26. Kapelusz z długiem strusiem piórem.

Czarny słomkowy kapelusz, oprócz pióra ubrany jest szeroką broszowaną wstążką, pod rondkiem sute podpięcie z białych kwiatków i bławatków.

N. 27—28. Dwie aksamitki na szyję lub na głowę.

Ryc. 27 przedstawia aksamitkę naszytą czarnym dżetem i czarnemi frywolitkami. Ryc. 28 aksamitkę ozdobioną białemi perełkami i rozetkami z białej koronki.



N. 21. Suknia z vêtement.



N. 25. Kapelusz przybrany wieńcem z liści.



N. 26. Kapelusz z wielkiem piórem.

N. 24. Kapelusz słomkowy z rondkiem w górę podniesionem z przodu.

Czarny, bastowy kapelusz, naszyty jest szlifowanemi czarnemi perełkami. Pod rondem z przodu dana bufa z czarnego tiulu, przepięta kwiatami, dalej całe rondo podszyte gładko, plisowanym tiulem. Kokardy z wstążki czarnej, 6 cent. szerokiej, i z materyi słomkowego koloru, wiśnie czarne i czerwone, oraz kwiaty białe z zielonemi liśćmi składają strojne przybranie kapelusza. Do wiązania luźno z przodu lub z tyłu służą barbki czarne tiulowe.

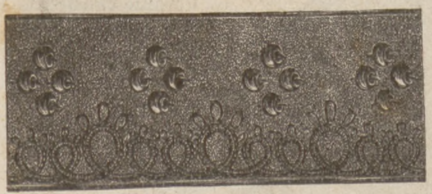
Przepisy kuchenne.

Konfitury z wisien zwanych hiszpankami.

Wyjąć piórkiem pestki z wisien, zważyć cukru tyle, ile jest funtów wisien, nalać na każdy funt cukru szklankę wody, postawić na ogniu, aby się zrobił syrop, który należy dobrze smarzyć i szumować; potém sparzyć nim wiśnie, na konfitury oddzielone, tak czynić codziennie przez dni 8, odlewając z wisien syrop codzień i gotowanym codzień zalewać: dziewiątego zaś dnia po zagotowaniu syropu i ostatecznem wyszumowaniu wrzucić wiśnie i zagotować. Po wystudzeniu zlewa się w słoiki, obwiązuje pęcherzem zwilżonym i do sucha wytartym, lub też woskowanym papierem.



N. 23. Kapelusz słomkowy z końcami tiulowymi związanymi pod brodą. Przód do ryc. 22.



N. 27. Aksamitka na szyję wyszyta perełkami i szlaczkiem z frywolitów.



N. 28. Aksamitka na szyję ozdobiona wyszyciem z gwiazdek.